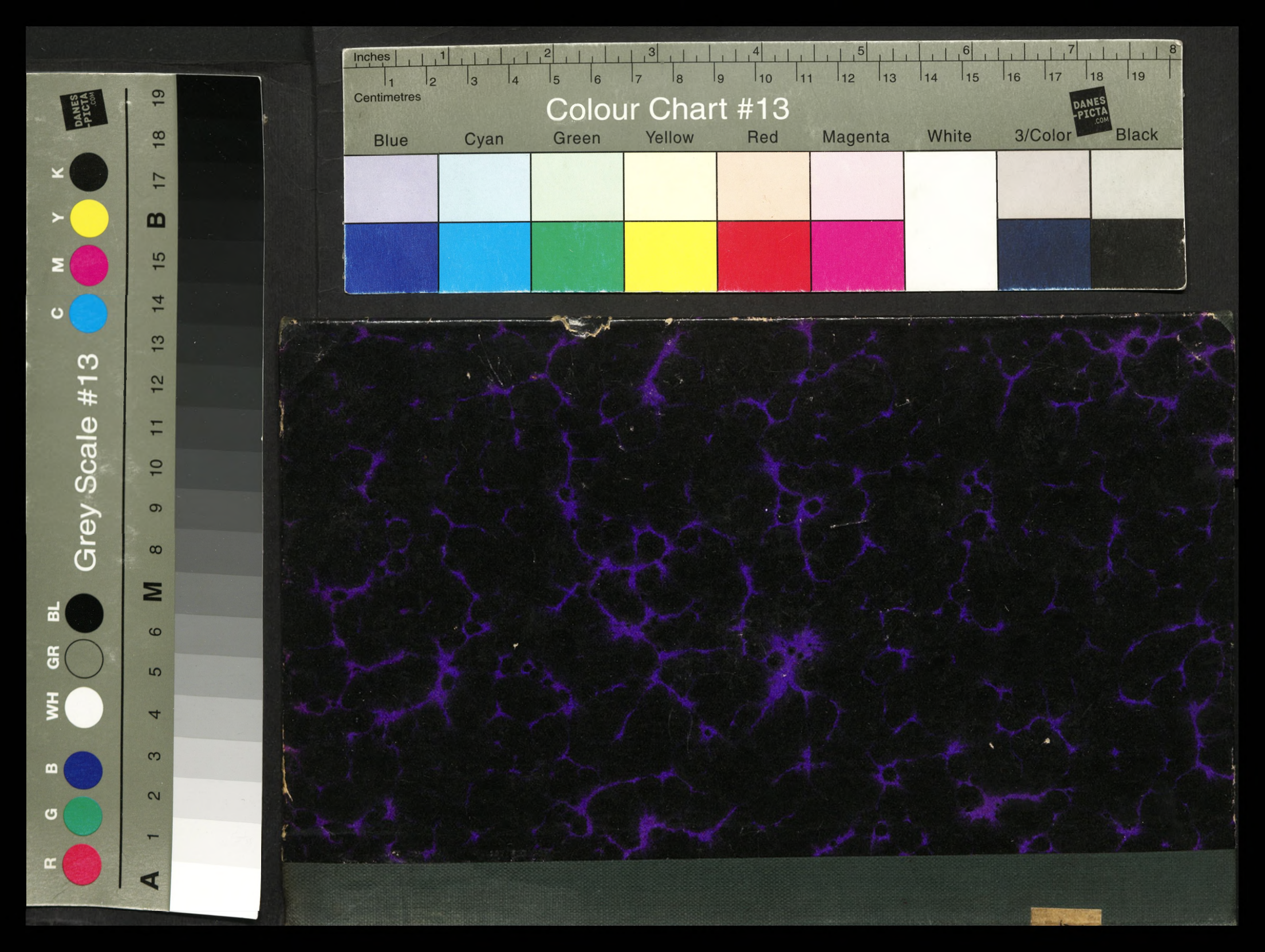

Inches
Centimetres
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Grey Scale #13
R G B WH GR BL C M Y K
A
B

PRZEMÓWIENIA DO ŻOŁNIERZY.

Nihil obstat.

Thaddaeus Jachimowski M. S. Th.

Censor librorum.

4/VII. 1919.

№ 1331.

Imprimatur

† Dr. Stanislaus Gall.

L. S.

Ks. FRANCISZEK ZBROJA.

PRZEMÓWIENIA

DO ŻOŁNIERZY.

NAKŁADEM AUTORA.

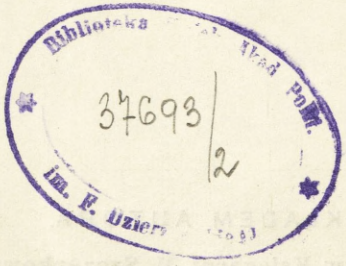
Skład główny w Księgarni M. Szczepkowskiego,
Aleja Jerozolimska 53.

WARSZAWA
—
1919.

855.7



1575/II



Drukarnia T. Jankowskiego, Warszawa, Wspólna 54. Telefon 266-07.

Kościołowi i Ojczyźnie

tę pierwszą, skromną pracę

w darze składa

Autor.

SPIS RZECZY.

		Strona
I.	Do ostatniej kropli krwi bronić będę!...	3
II.	Podnieś rękę, Boże Dziecię!...	09
III.	Bądź bohaterem!...	15
IV.	Pójdź za Mną!...	21
V.	Do nowej walki!...	27
VI.	W ślady Ojców!...	33
VII.	Tak mi dopomóż Bóg!...	39
VIII.	Bóg ich pogromcą był!...	45
IX.	Jeśli Cię zapomnę, Ojczyzno moja miła!...	51
X.	Dwom Ojczyznom służyć trzeba!...	57
XI.	Słuchaj, co Chrystus mówi!...	63
XII.	Bóg cudowny, a szczęście zmienne!...	69
XIII.	Maryo! bądź Matką żołnierza polskiego!...	75
XIV.	Wesoły nam dzień dziś nastał!...	83
XV.	Ten jest jedyny szlak Odrodzenia naszego!...	89
XVI.	Wznośmy nowy gmach!...	95
XVII.	Bądź czystym!...	103
XVIII.	Teraz do Was prośba!...	113
XIX.	Dajcie nam dobrych żołnierzy!...	121
XX.	Naprzód!...	129

OD AUTORA.

W listopadzie 1918 r. zgłosiłem się na kapelana wojskowego. Naznaczono mnie do Modlina. Czułem przed sobą odpowiedzialność i zarazem lęk, czy godnie spełnię swój obowiązek. Wyrok w tej sprawie do mnie nie należy. Najwięcej miałem kłopotu z przygotowaniem nauk dla żołnierzy. Brak odpowiednich podręczników i konieczność przemawiania zmuszały mię do łamania sobie głowy nad wyborem tematu i jego opracowaniem.

Chcąc cokolwiek pomóc swoim kolegom pod tym względem, dzielę się z nimi myślami, jakie mnie ożywiały w tych przemówieniach.

Ks. Franciszek Zbroja.

Twierdza Modlin
w czerwcu,
1919 r.

I.

„Do ostatniej kropli krwi bronić będę"...

Przed przysięgą.

Żołnierze!

W zwartym szeregu stanęliście w Kościele, by wobec Boga złożyć przysięgę na wierność Ojczyźnie. I kiedy patrzę na was, mimowoli sięgam myślą wstecz i przypominam sobie przedwojenną przysięgę naszych polskich rekrutów.

Pod eskortą strażników prowadzono ich do Kościoła, szli — bo musieli, bo „satrapa" batem poganiał! Kazano podnieść palce do góry — podnieśli! Kazano powtarzać słowa przysięgi — powtarzali! I to słowa, — które nie chciały przejść przez gardło, których język nie śmiał wymówić! A strażnik chodził wokoło i węszył, kto nie wymawia słów przysięgi, albo je za cicho powtarza... Biedni polscy rekruci! wrogom swoim — trzem ca-

rom: pruskiemu, austrjackiemu i rosyjskiemu, przysięgać musieli, że im wiernie służyć będą.

I służyli w pruskich i austrjackich regimentach, służyli w obcych mundurach, rozsiani po niemieckich kolonjach, po całej Rosji i tajgach Sybiru, zdala od kraju rodzinnego!

—„Wiernie służyć będę"—powtarzały usta,— a serce z oburzenia biło przyśpieszonem tętnem. I trzeba było powtarzać z bólem straszne słowa dla Polaka: „do ostatniej kropli krwi bronić będę". I kogóż? Czy tej polskiej ziemi? czy tych wiejskich chat? czy swego narodu? czy polskich kościołów?... Nie! — Polak musiał przysięgać, że będzie bronił „do ostatniej kropli krwi" swoich wrogów, ciemiężców, grabieżców, że nadstawi swoje piersi pod kule, byleby tylko nie upadła Rosja, nie zmalały Niemcy, nie osłabła Austrja! I bronili, biedacy, honoru swoich zaborców, szli w bój śmiało i odważnie jak przystało na polaków — i w niejeden bój! Nikt nie zliczy, ile trupów polskich padło w obronie wrogów: w tureckiej, francusko-pruskiej, krymskiej, rosyjsko-japońskiej wojnach! A któż zliczy tych naszych braci, którzy polegli w czasie ostatniej wojny wszechświatowej, nie w obronie ojczyzny własnej, ale w obronie tyranów? Polegli, bo nie chcieli splamić honoru Polaka zdradą przysięgi, choć gorycz paliła ich duszę, że konają nie za swoją ojczyznę!

Żołnierze! Taką to była przedwojenna przysięga polskich rekrutów.

A dzisiaj? O, bądź błogosławiony Boże wszech-

mocny! któryś naszą cierpliwość i długą a ciężką niewolę nagrodził niewysłowioną radością! Żołnierzu! czy słyszysz, że masz ojczyznę już wolną? czy wierzysz, że kajdany pękły, otworzyły się więzienia i z lochów podziemnych wychodzą duchy wolnych polaków? Czy wiesz, żołnierzu, żeś przyszedł do kościoła złożyć przysięgę, już nie wrogom, ale ojczyźnie swojej ukochanej i wolnej?

Już niema tu w kościele przy tobie strażnika—satrapy. Już cię nie podpatrzy, nie podsłucha. „Wolnej Ojczyźnie przysięgać będziesz".

Boże drogi! Co to za wielkie słowo: „Wolność". Ileż westchnień płynęło do Ciebie, o, Panie, z prośbą o to jedno słowo? Ileż to razy klęczeliśmy u stóp ołtarza Twego wraz z małemi dziećmi niewinnemi, i błagaliśmy pokornie o tę wolność! Jak nam ona była potrzebna i droga! Ileż łez spłynęło po licach naszych, gdy w ciężkiej niewoli zakuci, widzieliśmy, że ta wolność jeszcze tak daleko, że niewola coraz cięższa! Ileż krwi polskiej wsiąkło w ziemię od nahajek moskiewskich, rózg syberyjskich i pik kozackich! Któż policzy kości naszych wygnańców, rozsiane po drodze, wiodącej na Sybir do Irkucka, Nerczyńska i Kamczatki?! Wszystko to, płynęło do Ciebie, o, Panie, jako ofiara błagalna o wolność!" Czy słyszysz, żołnierzu?

Jaki to skarb—ta wolność! Jakże masz cenić swoją przysięgę, że, ty ją składasz Ojczyźnie wolnej, Ojczyźnie swojej, Niepodległej! i nietylko wolnej, ale i Zjednoczonej!—Wrogowie ją podzielili,—

Bóg ją połączył". Od dzisiaj masz bronić nietylko Warszawy, ale i Lwowa, nietylko Lwowa, ale i Poznania i Wilna, bo Polska Zjednoczona i ty, żołnierzu, takiej Polsce dzisiaj masz przysięgać!

Zbliża się chwila, podniesiesz dwa palce do góry i przysięgniesz uroczyście w obliczu Boga Wszechmogącego, że jedynie Ojczyźnie i sprawie całego narodu służyć będziesz. Jak Kościuszko, składając przysięgę na rynku Krakowskim, ślubował jedynie bronić całości granic i nie używać powierzonej sobie władzy na niczyj prywatny ucisk, tak i ty, żołnierzu, pamiętaj, że masz służyć nie własnej kieszeni, nie swoim przekonaniom politycznym, nie pewnej tylko partji, ale masz służyć całemu narodowi. Jeżeli myślisz inaczej,— biada ci, dla warchołów tu miejsca niema! I pamiętaj, że przysięgasz, „kraju ojczystego i dobra narodowego do ostatniej kropli krwi bronić".

Jakiego to poświęcenia żąda od ciebie dzisiaj Ojczyzna! wylać „ostatnią kroplę krwi", oddać życie, przeważnie młode, wyrzec się osobistego szczęścia, opuścić dobrowolnie kochających i kochanych, zginąć zdala od chaty rodzinnej. — Matka nie zamknie ci powieki; łzy nikt nie uroni, pieśni nie zaśpiewa, mogiły nie odwiedzi.

Może ptaszę polne swoją piosnkę zanuci czasami nad twoją mogiłą, albo powiew wiatru rozkołysze wierzchołki drzew, zaszumi bór i echo tego szumu poleci z wiatrem niby pieśń żałosna hen, hen! — aż do okna twojej chatki. Czyś gotów, żołnierzu, na bój, na krew!? Wiem, żeś gotów,

bo Polskę miłujesz ponad wszystkich i wszystko, śmierć ci nie straszna, krew nie przeraża!

Jakżeż? Toć wrogom służyłeś wiernie i krew za nich lałeś, a dziś dla Ojczyzny żałowałbyś życia? Dla Ojczyzny wolnej? Wiem, żeś wszystko poświęcił dla matki ojczyzny, wiem, że nadstawisz swoje piersi pod kule wrogie i nie pozwolisz skrzywdzić Ojczyzny! Wiem, że zniesiesz wszystkie niewygody życia wojennego, wiem i to, że nie splamisz honoru żołnierza polskiego! Pamiętaj, że dzisiaj patrzy na ciebie duch rycerza Kościuszki, dzisiaj patrzą na ciebie setki, tysiące bohaterów i bojowników wsławionych w bojach o wolność naszej Ojczyzny! Dzisiaj patrzą na ciebie duchy więzionych, głodzonych, chłostanych po kazamatach i cytadelach; patrzą na ciebie, jak to „ty“ będziesz bronił tej wolności matki — Ojczyzny! Niech cię dzisiaj przejmie wzrok tych wielkich zmarłych, a nieśmiertelnych Polaków, niech serce twoje zapłonie taką miłością Ojczyzny, jaką oni pałali, niech umysł twój zrozumie, że krew płynąca w twoich żyłach nie należy do Ciebie, ale do Ojczyzny! niech usta twoje wymówią szczerze te słowa święte:

„Kraju Ojczystego do ostatniej kropli krwi bronić będę“.

B. W.
D.O.K. VII. V.
KRAKÓW



II.

„Podnieś rękę, Boże Dziecię!"...

Na Pasterkę.

Żołnierze!

Jednem z najpiękniejszych świąt w Kościele katolickim jest bezwątpienia święto Bożego Narodzenia. Choć w porze zimowej przypada, jednak ma w sobie tyle uroku, tyle miłych wspomnień, opartych na zwyczajach polskich, jak może żadne inne święto. A naród polski szanuje te zwyczaje. Tradycyjna choinka jest czemś koniecznem w domu, jest szczęściem dla dziatwy, która nie posiada się z radości, patrząc na słodycze zawieszone na drzewku; iskrzą im się oczy do tych łakoci, pieścidełek i palących się kolorowych świeczek,— jakaż uciecha, zabawa, bieganina wokoło!

A przy symbolicznem łamaniu się opłatkiem, ileż budziło się w duszy rzewnych uczuć! Życzy-

liśmy sobie lepszego jutra i dla siebie i dla narodu całego.

Ten opłatek był promieniem nadziei przez długie lata, aż do ostatniej chwili. On krzepił ducha, wlewał otuchy zdrój i co rok odświeżał ufność w zwycięstwo idei sprawiedliwości. Tego opłatka nie zarzucił żaden dobry Polak, nawet wygnańcowi na Sybir posyłano go w liście.

Uwieńczeniem tej domowej uciechy była Wieczerza wigilijna. Radość malowała się na twarzach wszystkich domowników: dzieci i rodzice, służba i chlebodawcy, jak równi z równymi, znaleźli się przy jednym stole. Miłe — błogie chwile! Razem, wszyscy.....

Skończyły się one i dla was, żołnierze, i dla mnie. Znaleźliśmy się wszyscy zdala od chaty rodzinnej, zdala od ogniska domowego, znaleźliśmy się w szeregach, bo szczęście Ojczyzny ponad szczęście własne!

Ale i tu, w koszarach, nie zapomnieliśmy o naszych zwyczajach: mamy choinkę, łamaliśmy się opłatkiem, siedliśmy wspólnie do wieczerzy, gawędziliśmy wesoło, śpiewaliśmy nasze polskie kolędy, aż się echo rozlegało....

A gdy północ nadeszła, przy blasku iskrzących się gwiazd i przy huku armat, które zamiast potężnych dzwonów rozgłosiły całej okolicy wieść radosną, przybyliśmy tu, do kościoła:

O tej porze, niegdyś, za czasów Nerona, Dyoklecjana, Trajana, zbierali się pod ziemią pierwsi chrześcijanie na modlitwę, zbierali się po kryjomu,

stawiając warty wokoło. Bali się szpiegów, — prześladowania.

Tego się dzisiaj nie obawiamy, i nie pod ziemią — ale jawnie, i nie po cichu — ale głośno śpiewamy, z całej piersi: „Wśród nocnej ciszy". Cieszymy się, że na tę ziemię do ludzi, do nas przyszedł Chrystus.

Jak armia bez wodza nie może się łudzić nadzieją zwycięstwa, bo ją pobije nieład, brak karności, brak planu, — tak również i armia tych setek pokoleń, żyjących na świecie, zginęłaby, zmarniałaby, gdyby się nie zjawił Wódz-Chrystus, który dał plan walki: wskazał cel życia i wytknął drogę do zwycięstwa.

On nauczył ludzi, jak żyć mają!

On tego człowieka — sobka, obłudnika, leniucha, rozpustnika skarcił surowo i powiedział, że inne drogi prowadzą do nieba!

On swojem życiem ubogiem nauczył bogaczy, że „tysiące" szczęścia nie dadzą; miękkie dywany, wygodne łóżka, rozkoszne życie drogi do nieba nie utoruje.

On nauczył ludzi prawdziwej miłości! Przed Nim była zasada: „oko za oko, ząb za ząb".

On powiedział: „Miłujcie nieprzyjaciół waszych."

Ubogi — a jaki bogaty duchem!..

Mały — a jaki Wielki!..

Człowiek — a jednocześnie Bóg.

Pierwsi zrozumieli to pasterze, którzy, widząc niezwykłą gwiazdę na niebie, poszli jej szlakiem.

Znalazłszy w ubogiej stajence Nowonarodzoną Dziecinę, padli przed Nią na kolana i złożyli jej skromne dary w ofierze.

— Boska Dziecino! Naród polski spieszy do Ciebie za przykładem pasterzy a również z głębokim pokłonem. Dziś pragnie Cię uczcić za to, żeś przyniosła światłość—bo na tej ziemi taka ciemność! Żeś przyniosła Prawdę, — bo jej taki brak! I choć gęste chmury zasłaniają te promienie światłości, choć obłuda, fałsz, zbrodnia przyciemniają jej blask, to jednak, dzięki Ci o, Boska Dziecino! za te dobroczynne „słońce", za te promienie gorejące prawdą i sprawiedliwością! Myśmy na nie patrzeli nieustannie i wierzyli, że wreszcie zwyciężą! I już dzisiaj w części zwyciężyły. Przekonaliśmy się, odzyskując wolność, że zbrodnia została ukaraną. Dzięki Ci za to, Boska Dziecino!

Z całego serca wołam w tej chwili, Narodzie polski!

To jest pokłon, a gdzie dary? gdzie złoto? gdzie srebro? gdzie kosztowne podarunki?

— „Nie mamy ich!" — każdy odpowie.

Jakto? więc naród polski jest taki biedny, że niema co ofiarownć Boskiej Dziecinie? — O, nie! My mamy skarby, mamy bogate, kosztowne dary, jakich nie posiada żaden naród, bo żaden tyle nie cierpiał.

Zbierz więc, narodzie polski, te wszystkie łzy, jakie spływały po licach czasu niewoli, a spływały po licach twoich synów, córek, ojców i matek i złóż je w ofierze u stóp Dzieciątka. Ono je

przyjmie, bo to są najkosztowniejsze perły, to są miljony!...

Zbierz te wszystkie katusze, jakie ponosili najlepsi twoi synowie, zbierz, narodzie polski, te jęki, które głośno wyrywały się z rozdartych boleścią piersi, a które głucho ginęły w zakratowanych celach więziennych i złóż te drogocenne dary Boskiej Dziecinie!

Zbierz krew męczenników za wiarę, i wolność, krew unitów — zanieś do żłobka i powiedz: „Boska Dziecino! to są polskie skarby“!

Żołnierzu! czy to nie szlachetne dary?

A powiedz, mój drogi, cóż ty od siebie zaniesiesz do żłobka? Wiesz co?

Pójdę ja z tobą do żłobka i powiem:

„Boże Dziecię! prowadzę Ci polskiego żołnierza. Widzisz, ubogo ubrany,—nędznie wygląda,— ale nie przyszedł z niczem. Oto patrz! składa Ci trudy wojenne, imię dobrego żołnierza, który szedł odważnie w bój pod gradem kul, składa Ci zabliźnione rany i to gorące serce, które kocha Ojczyznę — ponad wszystkich i wszystko!

Przyjm, Boska Dziecino! od tego biednego żołnierza polskiego „te dary“, poczęte w szlachetnych myślach, a zdobyte w heroicznych czynach.

Wzamian o nic dla siebie nie prosi, ale błaga wraz ze mną o jedno dla Wolnej Ojczyzny:

„Podnieś rękę, Boże Dziecię,
Błogosław krainę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie
Wspieraj jej siłę Twą siłą.“

III.

„Bądź bohaterem!“...

Na dzień uroczystości Ś-go Szczepana.

Żołnierze!

Każdy kraj, każdy naród ma wielkich ludzi. Jedni wsławili się głęboką wiedzą, drudzy spiżowemi czynami. I choć tacy ludzie pomrą, choć upłynie od ich śmierci wiele czasu, choć ich kości spróchnieją, to jednak pamięć o nich nie zaginie. Od pokolenia do pokolenia przechodzi wspomnienie, książki piszą o ich działalności, małym dzieciom nie są obce ich nazwiska, setki pomników, wzniesionych ku czci tych mężów, przypominają potomnym, czem byli, i poniekąd zmuszają do ukochania tego, co oni kochali, i do naśladowania tego, co oni czynili.

Takich wielkich ludzi miał i ma nasz naród. Wystarczy rzucić okiem na karty dziejów naszych,

Biblioteka Wojsk. Akad. Pol.
[illegible]

a znajdziemy tam: imię króla Kazimierza Wielkiego, który „zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną“, imię Władysława Jagiełły, pogromcy krzyżaków, znajdziemy Jana Sobieskiego, który rozbił Turków pod Wiedniem i obronił wschód od barbarzyńskiego pogaństwa.

I nietylko królewskie imiona jaśnieją blaskiem czynów wielkich, bo są tam imiona: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Sienkiewicza, naszych wieszczów, którzy potęgą swego słowa krzepili ducha naszego, słodzili chwile niewoli, ukazując różowy świt wolności.

Są tam również imiona dzielnych rycerzy jak: Pułaskich, Kościuszki, Poniatowskiego, Głowackiego, Dąbrowskiego.

O! wielu — bardzo wielu mieliśmy wielkich ludzi, wielkich rycerzy, bohaterów. O nich Polska nigdy nie zapomni.

Żołnierze! I Kościół ma również swoich bohaterów, którzy dla Chrystusa żyli, pod Jego sztandarem walczyli i bohaterską śmiercią ginęli. I choć znikają państwa, giną narody, spadają trony królewskie, jednak pamięć i cześć tych bojowników za sprawę Chrystusową trwa wieki i trwać będzie. Za życia byli w pogardzie u ludzi, za życia — ubodzy, a dziś wielcy — potentaci ducha i czynu.

Nie będę wyliczał wszystkich, bo w dziejach Kościoła katolickiego jest ich niezliczony szereg. Wspomnę dzisiaj o jednym tylko—o Świętym Szczepanie.

Pierwszy z pośród męczenników. Pierwszy i dzielny, młody — a mężny. Wstąpił w szeregi obrońców Chrystusa i nie dobijał się o godności, był zaledwie djakonem, ale spełniał swój urząd z zamiłowaniem. Obdarzony darem wymowy, głosił naukę Chrystusową z wielkim skutkiem. Setki Żydów nawracał do wiary chrześcijańskiej. Starszym żydowskim robota Ś-go Szczepana była solą w oku. Za wszelką cenę chcieli się go pozbyć. Znaleźli fałszywych świadków — oskarżyli go o bluźnierstwo i zasądzili na śmierć przez ukamienowanie. Nie uląkł się śmierci, nie zaparł Chrystusa, ale mężnie skonał pod gradem kamieni.

Żołnierze! Przedstawiając wam bohaterów narodowych i jednego z bohaterów Chrystusowych chciałem wykazać, że jest nić łącząca tych ludzi; jest wspólna cecha, która im nadaje szczytne imię bohaterów.

I ci i tamci są wojownikami, są rycerzami, walczącymi o wielką świętą sprawę.

Jedni i drudzy walczą o Ojczyznę. Pierwsi o ziemską — drudzy o niebieską.

Powiem nawet, że często walka idzie o wspólne ideały. Tak są złączone ze sobą sprawa Boża ze sprawą Ojczyzny, — że trudno walczyć o jedną z nich, nie broniąc jednocześnie drugiej. Wielkie zasady: sprawiedliwości, równości, miłości, o które narody tak zawzięcie walczą, są pochodzenia Bożego. Trudno więc praktycznie rozdzielić to hasło: Bóg i Ojczyzna.

I dla nas ono musi być jedynym drogowskazem. Dla Boga i dla Ojczyzny mamy żyć i umierać. O tych dwóch wyrazach na chwilę nie wolno nam zapominać; te symboliczne słowa widnieć powinny na sztandarze żołnierza polskiego, winny być nie tylko na ustach przy deklamacji, ale również wyryte głęboko w sercu i w życiu stosowane.

Niejeden z was myśli, że jest wielkim, bo gotów walczyć za Ojczyznę, gotów nadstawić piersi pod bagnet, aby zasłonić kraj rodzinny przed wrogiem. Niejeden czuje żar poświęcenia do czynów heroicznych.

Cześć ci za to, że tak myślisz! Ale hasłem twojem: Bóg i Ojczyzna! Podwójnym masz być bohaterem. Jeśli chcesz być takim bohaterem — to nie dosyć gardzić śmiercią — nie dosyć śmiało iść do ataku pod ogniem huraganowym — nie dosyć zwyciężać wroga, zabierać jeńców, armaty. Nie dosyć! Trzeba iść drogą zasad Bożych, trzeba tych zasad bronić i w tej walce okazać się mężnym, dzielnym, nie ugiąć się nawet przed śmiercią.

Powiedz, czyś ty bohater? czyś ty obrońca hasła: Bóg i Ojczyzna? Czy ty nie plamisz honoru swego pułku, swojego sztandaru? Policz, ileż razy uciekałeś od Boga? ileż razy zdradzałeś Chrystusa, a poszedłeś na usługi wrogowi.

Nie będę ci tu publicznie wyliczał wszystkich twoich zdrad — niech ci o nich powie sumienie.

Żołnierzu! Jeżeli za zdradę, nawet za dezercję w czasie wojny, czeka cię kula, cóż cię czeka za zdradę samego Boga?!

O, daj Boże!, aby powiew łaski zmienił duszę twoją, abyś zrozumiał, że, krzywdząc Boga, krzywdzisz Ojczyznę, abyś się postarał żyć i umierać dla Boga i dla Ojczyzny. Salutując dwoma palcami, stwierdzasz, że pod takim hasłem powinieneś tylko walczyć. Okaż to czynem, stwierdź życiem, że nie masz droższych ideałów w sercu swojem i sięgaj po wawrzyny bohaterstwa.

A choć może uznanym nie będziesz jako bohater narodowy, może twoje czyny żołnierskie zostaną ukryte, może swoich zalet nie będziesz miał sposobności wykazać — jednak pamiętaj! bohaterem Chrystusowym zawsze możesz zostać. Walka o ideały Chrystusa trwać będzie i w niej udział każdy wziąć może i powinien. O ile ta walka zakończy się zwycięstwem, walczących obdarzy Chrystus mianem bohaterów. Zwycięzca w takiej strasznej walce, gdzie chodzi o zdobycie nieba — zawsze wielkim, zawsze bohaterem będzie.

Żołnierzu! sięgaj po ten zaszczyt.

IV.

„Pójdź za Mną!“

Na czas wolny od bojów i pochodów wojennych.

Żołnierze!

Cały tydzień huk, musztra, szarżowanie. Dziś niedziela — cisza w twierdzy. Pozwólcie, że uderzę w delikatniejsze struny waszej duszy, by wydobyć z nich dźwięki podziwu dla arcydzieł tego świata i tony uwielbienia dla jego Stwórcy. Boć gdziekolwiek rzucisz okiem, wszędzie się dopatrzysz tego piękna, tej harmonji.

Wyjdź w maju na łąkę. Toć to dywan zielony utkany różnokolorowem, żywem, przemawiającem kwieciem. Piękno tryska z każdego listka, z każdej barwy. Oko nic nie wie, na którym z tych kwiatów dłużej spocząć, bo każdy cudny, każdy posiada swój odrębny wdzięk.

A gdy spojrzysz na falujące łany zboża, które jak okiem sięgnąć można, kołyszą się od

wiatru, niby fale wód, rośnie w tobie uczucie podziwu dla tych pięknych kłosów, przyszłych twoich karmicieli.

Nie mniej poważnie nastroi cię ciemny las, olbrzymi las. Drzewa stoją jak mur. Wysmukłe, proste jak świece, poważne jak przystało na stuletni wiek. Na gości patrzą dumnie, bo głowy swoje podniosły wysoko w górę. Z małego ziarenka rozpoczęły życie, a dziś rozwinięte silnie — potężne drzewa. Stoją w milczeniu. A gdy wiatr przerwie zadumę i rozkołysze wierzchołki, gdy zaszumi cały bór, melodja tajemnicza, niby skarga żałosna, płynie ci do uszu. Czyż to nie arcydzieło?

A góry niebotyczne, pokryte wiecznym śniegiem, czyż nie są godne podziwu?

Stoją, jakby na straży całej natury, widzą wszystko w dalekim promieniu, gotowe każdej chwili zanieść skargę do Boga. Niebotyczne góry, — których szczyty witają się z szybującemi chmurami.

I gdybyś się wzbił lotem sokolim na te szczyty, gdybyś orlim szlakiem sięgał w niezmierzoną dal, ujrzałbyś bezbrzeżne wody mórz i oceanów. Czasem one ciche, jasne, gładkie niby lustro, czasem syczące, ciemne, spienione od bałwanów. Piękny byłby to widok!

I rzecz znamienna wszystkie te twory, zdawałoby się martwe, pozbawione mowy, jednak głoszą podziękę swemu Stwórcy. Jako podzięka od łąk płynie ku niebu przyjemna woń.

Od pól leci ukłon falujących się łanów.

Od lasów i mórz idzie szum niby pacierz, niby pieśń. Od gór sięgających niebios, strzela ku niebu chęć ujrzenia Stwórcy swego.

A czemże jest człowiek? Najpiękniejszym tworem. Pierwszem arcydziełem. Królem naznaczony całego świata. Równych sobie nie ma, bo tylko on posiada niepożytą moc ducha. Tylko człowiek zdolny jest wzbijać się umysłem ponad ziemią i szukać odkrycia zagadek tego świata.

Mamy dowody, że ten człowiek, ten król natury szukał i znalazł dużo odpowiedzi, które przez długie wieki uważano za nierozwiązalne.

Teleskop, telefon, telegraf, aeroplan są to wynalazki człowieka.

Jakież bogactwo — jakaż potęga umysłu!

Jakiż to skarb posiada człowiek!

I cóż ten człowiek daje swemu Stwórcy w podzięce?

Natura, choć martwa—godnie dziękuje za dary; natura, choć nierozumna—słucha praw, nakreślonych jej przez Stwórcę i na jotę od nich nie odstępuje. Po nocy dzień — po dniu następuje noc. Cztery pory roku nigdy się nie pomylą. — Każda gwiazda ma swój szlak niebieski i w biegu swoim nigdy nie zabłądzi. Słońce ma grzać i świecić i ten rozkaz Stwórcy spełnia posłusznie. Żadnego odchylenia, żadnego widzimisię niema w naturze.

Ziemi kazał Bóg żywić człowieka i nikt się nie może skarżyć na ziemię, że nie jest karmicielką. Tylko człowiek nie schyli głowy, nie ze-

gnie kolana, nie spojrzy w górę. Obdarzony wolną wolą gardzi Stwórcą. Jego prawem — pluje szyderczo na rozkazy Boże i idzie samopas, bo on pan, bo on król. Tyle darów, tyle dobrodziejstw, tyle piękna otrzymał od Boga, nawet wolną wolę, bo Stwórca nie chciał, aby człowiek był maszyną, manekinem, automatem, a za to płaci żółcią, czarną niewdzięcznością! Z pięknego, wielkiego staje się podłem nikczemnem, niewdzięcznem stworzeniem. — Czyż nie tak?

Kto bluźni przeciwko Stwórcy? — człowiek.

Kto przeklina od rana do nocy? Kto prowadzi życie wyuzdanej rozpusty? Także człowiek.

Kto morduje, podpala, okrada, fałszywie przysięga, kto pytam, jak nie człowiek?

Gdyby wyliczać wszystkie zbrodnie, występki człowieka, i te jawne i te ukryte; dawne i obecne, gdyby przedstawić całą jego niewdzięczność, serce by się ścisnęło z żalu, że ten człowiek — ten pan — ten król całej natury — upadł tak nizko, niżej od zwierząt nierozumnych.

Prawda, są istoty rozumne, które płacą Stwórcy wdzięcznością. Są dusze czyste, niewinne, niby lilje polne, od których wieje rozkoszna woń cnót. Są ludzie i nawet wielcy uczeni, badacze natury, którzy śledząc, badając arcydzieła ziemskie, podziwiają ich Stwórcę i kornie schylają przed Nim swe czoła. Ale czy wszyscy ludzie składają Bogu hołd dziękczynny? Występki ludzkie mówią: że nie!

Żołnierzu! Chcę cię zapytać, w którym ty

szeregu stoisz? czy w tym, który zgina kolana przed Bogiem, czy w tym, co drwi sobie z Boga? Powiedz szczerze: czy ci mało dał Bóg? czyś może ślepy — albo kulawy? Może nie masz rąk — nóg? Może nie władasz mową?

Nie! — Widzę, że ci Bóg dał wszystko. — A jak dziękujesz za te dary?

Słuchaj! Byłeś już zapewne w wielu bitwach lub będziesz, kule gradem sypały się na ciebie lub posypią. Kolega padł — drugiemu nogę oberwało — trzeci rękę stracił, — a ciebie Bóg cało zachował... Tak, a ty nawet dziś nie klękniesz do pacierza, ty się wstydzisz przeżegnać!

Wielu z was było w piekle bolszewickiem. Pijane żołdactwo czerwono-gwardzistów przykładało wam bagnety — pod murem stawiało — wyroki śmierci dawało,—a wyście tu, u nas w Polsce, w swojej Ojczyźnie — dla niej was Bóg zachował. I czy nie warto, nie trzeba Mu dziękować?

Słuchaj jeszcze, żołnierzu! Ten Stwórca, który cię obdarzył tyloma dary — dziś daje ci skarb —skarb posiadania wolnej Ojczyzny.

Czyś ty się spodziewał takich granic? Daje ci ten hojny dar Bóg miłosierny, Bóg sprawiedliwy, Bóg wszechmocny i czy ty, choć czasem—prześlesz za to do tronu Bożego serdeczną podziękę? Sumienie twoje odpowiada za ciebie i każe ci się przyznać, żeś uciekł z szeregu dobrych ludzi, uciekłeś i zdradziłeś Boga. Gdyby Bóg był mściwy, zawołałby: Zdrajco! Zasłużyłeś na śmierć!

Ale nie — Bóg woła: — Żołnierzu polski! Pójdź

za Mną, twoi ojcowie szli i bitwy wygrywali — kiedy mnie opuścili i ja ich opuściłem. — I płakał twój naród długie lata w niewoli — i zrywał się do boju i znowu padał — jęki precz szły ku niebu i dzisiaj ich wysłuchałem. — Daję wam pragnienie wasze — ukochanie wasze.

Ale za to pójdź, żołnierzu, za Mną!

Pójdź i nie zdradzaj!

Pójdź i wiernie służ!

Pójdź, żołnierzu, pójdź! za Mną! za swoim Stwórcą.

V.

„Do nowej walki"...

Na Nowy Rok...

Żołnierze!

Dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem zostaje za nami. Co wczoraj było nowem, dziś już jest starem — co dziś nowem, jutro będzie starem. Przyszłość staje się przeszłością! A wszystko mija tak szybko, tak nagle, prawie, że lotem błyskawicy. Niedawno byliście dziećmi, chodziliście do szkoły, czasem pobawiliście się w wojsko, — dziś, już wszyscy jesteście w mundurach, w szeregach, już się nie bawicie w wojsko, ale naprawdę ćwiczycie się jako prawdziwi żołnierze.

Niedawno, bo zaledwie przed kilkoma godzinami był jeszcze stary rok, a w tej chwili już jesteśmy za progiem nowego i jużeśmy zrobili kilka kroków naprzód.

Rzeczywiście, jak to prędko zleciał ten rok! 365 dni,—to jest 8,760 godzin leży już w przeszłości. Gdyby nie wspomnienia, gdyby nie wypadki, — zdawałoby się, że to sen. Warto więc na pożegnanie zapytać się: „Roku stary, czemś był dla nas, co za wspomnienia, jaką spuściznę zostawiasz dla nowego roku?“

I czemże dla nas ma być nowy rok?

Stary rok był podobnym do swoich trzech poprzedników. Rozpoczął się przy huku armat, gwizdaniu kul, przy jękach rannych i konających żołnierzy na polu bitwy. Był jednym z tych strasznych lat strasznej wojny. Nawet się różnił od swoich poprzedników o tyle, że przewyższał ich rozmiarem klęsk, siłą rozmachu i siłą dokonanych faktów. Francja wszystko położyła na szali. Wsparta przez Anglję i Amerykę zrobiła ostatni wysiłek. I choć Niemcom służyło szczęście na wschodzie, choć zawarli pokój brzeski, choć zagarnęli ogromny kawał Rosji, jednak miecz Koalicji dał im się we znaki. Stopniowo, potrosze ale systematycznie wypierano Niemców z Francji. Był moment jeden, kiedy Niemcy resztkami sił ruszyli naprzód, ale nie do zwycięstwa! To był ostatni, przedśmiertny, konwulsyjny rzut! Czarny orzeł został powalony i upokarza się prosząc o pokój. Złamana potęga krzyżacka — 51 miesięcy groziła światu, 51 miesięcy głodziła ludzi, — 51 miesięcy gładziła tyle młodych istot — tyle talentów!

51 miesięcy płynęły łzy, słychać było jęki i płynęła skarga do Boga nie od jednego tylko

tysiąca, ale od miljona osób, którym śmierć zabrała przyjaciół, braci, synów, ojców, których strata rozdzierała pierś nieukojonym żalem!

Straszny, najcięższy rok*), a zarazem z pośród 123 lat najszczęśliwszy. Bo nad tamtymi była pieczęć niewoli, bo nad tamtymi była obroża, były kajdany, była szubienica, były kopalnie Nerczyńska, a nad tym 1918 rokiem ukazała się zorza, jasna promienna, przynosząca nam, więźniom— polakom, to drugie, wymarzone, przecierpiane słowo: wolność!

To jedno słowo: „wolność“ przyniósł naszemu narodowi rok 1918, jako największy skarb w podarunku. Jedno słowo, siedem liter zaledwie mające, ale ogromu szczęścia, jakie ono w sobie zawiera, nikt nie jest zdolny z pośród nas wyrazić, chyba ten więzień polski, który całe życie spędził w kopalni syberyjskiej, przykuty do taczki.—Tem był rok stary dla narodu.

A czem był dla nas z osobna?

Przypuszczam, że był tem, czem wogóle jest życie ludzkie, które rzadko daje wieniec z róż, a częściej z cierni.

Te ciernie zapewne poraniły niejednemu z nas duszę, były przyczyną cierpień moralnych, zawodów, rozczarowań, ciosów rodzinnych. Niejeden z was w ubiegłym roku otrzymał ranę i do dnia dzisiejszego nosi jej bliznę. Niejeden z waszych kolegów, serdecznych przyjaciół w roku zeszłym

*) Mowa o roku 1918.

został ugodzony kulą wroga i rozstał się z tym światem. Śpi snem wiecznym, razem z innymi, gdzieś daleko—we wspólnej może mogile, przez was wykopanej i usypanej w kształcie wysokiego kopca, z krzyżem na wierzchu. Śpią razem, jako przyjaciele! Nie usłyszeli wesołej nowiny o Wolnej Polsce, — z nadzieją tylko zeszli do grobu. Cześć ich pamięci! Bóg ich nagrodą będzie!

Choć tyle ciosów nas spotkało, choć tyle bólu duszę napełniło, choć tyle ran zadał nam wróg, jednak to wszystko, cośmy wycierpieli jest niczem w porównaniu z tem szczęściem, jakie nas spotkało! O wszystkiem zapomnijmy, cośmy przecierpieli — i żegnając rok stary, powiedzmy: Bądź błogosławiony roku ostatni wszechświatowej wojny! Bądź błogosławiony za ten kielich goryczy, jaki w końcu kazałeś nam wypić! Bądź błogosławiony, bo to była reszta zapłaty za nasze odkupienie! Roku pamiętny! Nigdy nie będziesz zapomnianym! Żegnaj! bogate dziedzictwo — dziedzictwo ójców i dziadów naszych zostawiłeś nam!

Pożegnaliśmy już stary rok, przekroczyliśmy granicę nowego i dlatego chciałbym was zapytać, czem ma być dla nas ten nowy—rok? Wobec jakich zadań stoimy na początku Nowego—roku?

Żołnierze! Półtora miesiąca zaledwie upłynęło od chwili, kiedy najeźdzcy opuścili nasz kraj. Półtora miesiąca własnej gospodarki. Półtora miesiąca, jak świeci tu jasna zorza szczęścia, jeszcze jej promienie nie ogrzały wszystkich, nie zajrzały wszędzie, a już na naszym polskim horyzoncie

gromadzą się chmury i przyćmiewają blask tego szczęścia.

Na wschodzie grozi nam bolszewizm, czuć jak się zbliża ta zaraza, jak wieje ku nam wprost w oczy, jak nas chce zatruć, obezwładnić w samem zaraniu naszego życia politycznego. Na zachodzie hydra krzyżacka jeszcze się podnosi, a nie mogąc grozić Koalicji, nam grozi. Na południu również gromadzą się chmury.

I tak wokoło piętrzy się siła wybuchowa, aż wreszcie rozszaleje burza z błyskawicami, grzmotami i z całą potęgą swej grozy. Nawet w kraju grono zdrajców wolności chce zamienić w samowolę porządek, spokój zamienić w anarchję, w bandytyzm.

O! nie zaćmią te chmury naszego nieba wolnego! Bóg zesłał dla nas zorzę, — Bóg nas ocali! Dał nam ukochanie Ojczyzny, dał nam moc poświęcenia, więc pójdziemy wszyscy na bój!

Czy słyszysz, żołnierzu, co cię dzisiaj czeka? w tym nowym roku? Czyś gotów być obrońcą tej wolności, za którą tylu już poległo? Czy nadstawisz piersi w obronie zagrożonych granic? Czy nie dopuścisz swoją postawą do przewrotów w kraju?

Próżno mi pytać, bo każdy z was po to wstąpił do wojska. Wierzę, że jak jeden, gotowiście iść na najcięższy bój.

Żołnierzu! Ale wiedz, że nowy rok ma być również odnowieniem twojej zestarzałej, zabrudzonej duszy. Jak to na wojnie, przyznać musisz, żeś żył bez kontroli sumienia, żyłeś samowolnie,

niewiele brakowało, byś całkiem pacierza zapomniał, chciałeś wyzyskać ostatnie chwile przed śmiercią i wyzyskałeś je dla ciała, dla swoich zmysłowych namiętności; ale słuchaj, ty się gotuj na bój! gotuj na śmierć, bo rok ten — to może już ostatni dla ciebie rok, może rana będzie śmiertelną i na wieki oczy zamkniesz!

Słuchaj dalej, żołnierzu! O świętą sprawę masz walczyć, a jeżeli ją chcesz wygrać, to z brudnem sercem jej wygrać nie możesz. Potrzeba ci pomocy Bożej, — a grzesznika Bóg wspierać nie będzie. Więc życzę ci, żołnierzu, w dniu Nowego Roku powodzenia w tych trudach, jakie na ciebie czekają, a jednocześnie z całego serca ci życzę, byś odnowił swoją zniszczoną, wynędzniałą, grzeszną duszę przed zbliżającą się walką.

VI.

„W ślady Ojców"...

Żołnierze!

Czytając „Quo Vadis" Sienkiewicza i patrząc na arcydzieło Siemiradzkiego „Świeczniki chrześcijaństwa", wstrząsa naszemi nerwami obraz tortur, jakie ponieśli pierwsi chrześcijanie i każe z czcią pochylić głowę przed głęboką wiarą tych dzielnych nieustraszonych męczenników. Wszystkie tortury, jakie mógł wymyślić pogański, fanatyczny umysł, oni przenieśli. Bez słowa skargi, z uśmiechem na twarzy.

Bo ginęli za przekonania, za miłość Chrystusa, za Jego naukę.

On! Chrystus! podbił ich serca.

Jak wielkim jest ten Chrystus! Jak wielką siłę przyciągającą posiada Jego nauka, skoro tyle miljonów serc zjednała sobie...

Prawdziwie Boska nauka! Skoro się rozwinęła tak pomyślnie, pomimo tylu i przez tyle wie-

ków trwających prześladowań. Bo choć krwawe prześladowania później ustały — jednak niekrwawe nigdy nie ustały.

Szykany — ironja, cynizm spotykają zawsze wyznawców Chrystusowych. Plucie na wiarę Chrystusa uprawia nie jeden pionier wolnomyślnego ducha.

Jednak moc nauki Chrystusa jest silniejszą i wiara w nią nigdy nie gaśnie.

Najtęższe umysły skłaniają przed nią głowę: Newton, Kepler, Kopernik, Pasteur — życiem potwierdzają publicznie wiarę w Chrystusa.

Możnaby całą litanję przytoczyć tych wielkich i zarazem wierzących mężów.

A gdy się zapuścimy w dzieje narodu naszego znajdziemy w nich również niejednego Polaka — bohatera z głęboką i żywą wiarą.

Książę Mieczysław I zrywa z pogańską religją, usuwa bożków, sprowadza misjonarzy i sam wraz z częścią narodu przyjmuje wiarę chrześcijańską.

Następcy jego budują setki wspaniałych świątyń. Jagiełło do niedawna poganin, idąc na krzyżaków, przed bitwą, słucha pobożnie mszy św. Wiarę żywą Bóg wysłuchuje i daje mu wielkie, nieśmiertelne zwycięstwo pod Grunwaldem. Kazimierz królewicz został wyniesiony na ołtarze za żywą, gorącą wiarę. Sobieski, ostatnia jasna gwiazda w historji rycerskich królów naszych, z Bogiem wszystko zaczyna. Gdy hordy tureckie groziły całej Europie chrześcijańskiej i, szerząc mord i zniszczenie, posuwały się prawie już do Polski,—

ujmuje ten dzielny rycerz w swoje ręce miecz i rusza do boju na czele swich bohaterskich hufców. Po drodze odwiedza miejsca cudowne: Studziannę, Częstochowę, prosi o pomoc Bożą: przed bitwą sam osobiście służy do mszy świętej. Toteż, dzięki pomocy Nieba rozgramia Turków pod Wiedniem i jako zwycięzca, tryumfalnie wjeżdża do Wiednia.

Na podziękowanie Matce Najświętszej składa w Krakowie, na Wawelu i w Studziannie piękne, duże, perskie kobierce, tkane srebrem i złotem, które zdobył na paszy tureckim, składa liczne wota w innych świątyniach, do dzisiaj świadczące o religijności tego monarchy.

Na drugi dzień pisze list do żony swojej: „Bóg i Pan nasz, na wieki błogosławiony, dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu o jakiej wieki nasze nigdy nie słyszały"...[1])

A wielki hetman nasz, Stanisław Żółkiewski, czyż nie daje dowodów silnej wiary, gdy pisze w liście swoim: „Życzę sobie tego, abym mógł zdrowiem swojem zastąpić niebezpieczeńswo Ojczyzny, a położyć żywot z pogany dla wiary św. chrześcijańskiej...

Ale to idzie wedle woli i obiecania Bożego. Życzę pewnie sobie śmierci tak słodkiej dla wiary św., dla Ojczyzny, ale nie wiem, jeślim tej łaski od Pana Boga godzien.[2])

---

[1]) Ks. Józef Makłowicz. Przykłady ojczyste str. 292.
[2]) Ks. Józef Makłowicz. Przykłady ojczyste str. 75.

W ślady dowódców wstępowali żołnierze. Były i wtedy grzechy; żołnierze nie byli przecież aniołami, ale była jednocześnie i duża wiara.

W czasie ewangelji żołnierze wydobywali szable z pochew na dowód, że gotowi są jej bronić; gdy szły pułki do boju, a głównie do ataku, pieśń „Bogarodzico“ była na ustach żołnierza; idący na wojnę żołnierz otrzymywał w podarunku od kochanej osoby ryngraf, czyli blaszany obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, i zawsze go nosił na piersiach; gdy otrzymał ranę śmiertelną, gdy mu już prawie puls ustawał, jeszcze miał tyle wiary, że choć słabo, pocichu ale jeszcze wyszeptał: Jezus, Marjo, Józefie Św. Takie były ostatnie słowa konającego żołnierza polskiego.

Za wojskiem idzie wiara części naszego narodu, tak zwanych unitów. Niedaleko od nas mieszkają w Chełmszczyźnie. Historja ich męczeństwa jest żywą wpośród tych, co żywi zostali. Zapomnianą nie będzie. Za dużo krwi przypieczętowało jej karty. Wielcy męczennicy! Świętymi wszyscy będą, bo dorównali głębokością wiary męczennikom z czasów rzymskich prześladowań. Toć ci unici kryli się po lasach, w nocy słuchali nabożeństwa katolickiego, przekradali się do Galicji, aby wziąć ślub w kościele, by się wyspowiadać lub ochrzcić dziecko. Gdy moskale robili obławę na wieś, by siłą zabrać dzieci i ochrzcić w prawosławnej cerkwi, matki uciekały wraz z dziećmi do lasów i tam się kryły o głodzie po kilka dni. Były wypadki, że matka, nie mogąc obronić dziecka przed strażni-

kami, dochodziła do szału i topiła je, a nie dała ochrzcić na prawosławie. Tragizm cierpień dochodził do szczytu. Jedna rodzina dobrowolnie żywcem się spaliła w stodole, byleby tylko umrzeć w katolickiej wierze. Takie są karty naszej historji; karty z których wieje silna, głęboka, czynna wiara, dochodząca do heroizmu, do oddawania życia.

A jeżeli weźmiemy dzisiejsze czasy pod uwagę, to radbym wiedzieć, jakie karty w historji pozostawimy potomnym pod względem wiary.

Nie chcę badać dzisiejszej wiary całego narodu, ale chcę wiedzieć i zapytać o to was, żołnierze: jaka jest wasza wiara?

Zapewne każdy z was odpowie, że ma wiarę— każdy z was ochrzczony w kościele katolickim, metrykę posiada, ale gdyby tak można było zbadać siłę wiary każdego z was, wątpię, czy wyniki byłyby dobre, zadawalniające.

Powiedz, żołnierzu, czy masz silną wiarę w to, że Kościół katolicki, do którego ty należysz, jest jedynym prawdziwym kościołem?

Czy masz silną wiarę w to, że nauka, którą słyszysz stąd, z tej ambony, jest nauką świętą, niezmienną, pochodząca od samego Chrystusa!

Czy wiarę tę stwierdzasz czynem w życiu?

Czy masz medalik? koronkę? różaniec? masz książeczkę do nabożeństwa? Czy ty chodzisz do spowiedzi? czy ty zachowujesz przykazania Boskie?

Słabo tli się iskra wiary w duszy twojej. Na papierze wyznajesz religję katolicką, w słowach zaręczasz, żeś wierzący, ale czyny cię zdradzają,

czyny mówią, że nie znasz Chrystusa, że nie znasz jego nauki, że w nią nie wierzysz, czyny świadczą o tobie, że nie uznajesz żadnych węzłów łączących cię ze Stwórcą.

Powiedz, żołnierzu, zamiast pieśni „Bogarodzico“ jakie ty piosenki śpiewasz? jakie ty rozmowy w koszarach prowadzisz? jakie ty życie po za twierdzą prowadzisz?

Czemu to się dzieje, że zaprzysiężony żołnierz ucieka z pułku? Gdyby on miał wiarę, czyby złamał przysięgę? Czemu to się dzieje, że stojąc na posterunku, żołnierz plami rękę łapówką?

Żołnierze! nie będę wyliczał dłużej tych występków, jakie przynosi brak wiary. Wolę raczej rozdmuchać dogorywający płomyk wiary waszej: wolę raczej zapukać do szlachetniejszej, czulszej strony duszy waszej i powiedzieć każdemu z was:

— „Żołnierzu! wiary ci potrzeba!“

Jeżeli będziesz miał wiarę silną w Boga, w Chrystusa, jeżeli nie będziesz wątpił w kościół, w jego naukę, jeżeli tę wiarę potwierdzisz swojem życiem i pójdziesz śladem praojców, śladem unitów o! będziesz dzielnym żołnierzem! Z taką wiarą nie zlękniesz się śmierci. Będziesz czuł, że przy twoim boku jest Obrońca — Bóg, pójdziesz w ogień huraganowy, nie zdradzisz sztandaru, nie złamiesz przysięgi. Daj Boże wszystkim silną wiarę!

VII.

„Tak nam dopomóż Bóg!“...

Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,
Nie damy pogrześć mowy
Polski my naród, polski lud!
Królewski szczep Piastowy.
Nie damy, by nas zgnębił wróg —
Tak nam dopomóż Bóg!

Gdy obroża niewoli krzyżackiej stawała się coraz ciaśniejszą i boleśniejszą, gdy nasi wrogowie wydawali coraz to okrutniejsze dekrety, gdy wreszcie przymusowo wyrzucali Polaków z własnej ziemi, a swoich osiedlali, gdy nawet dzieciom zabroniono mówić pacierz po polsku, wyrwał się silny głos z ust naszej poetki Konopnickiej „Nie rzucim ziemi!“ Głos ten został chórem powtórzony przez blizko 3 miljony poznańczyków i przez ostatnie lata ciężkiej niewoli, był jedynem zaklęciem, jedyną przysięgą każdego polaka. Starzy na roli mówili wobec Boga: „Nie rzucim ziemi“, a dzieci w szkole składali przysięgę: „Nie damy pogrześć

mowy", składali ją w imieniu swojem i w imieniu przyszłych pokoleń.

I chociaż przysięga wielkiej poetki istnieje niedawno, jednak ta przysięga była znaną i dawniej na długo przed jej napisaniem, nie w tych samych słowach, ale tej samej treści. Rozumieli ją nasi zmarli bohaterowie, którzy walczyli o niepodległość, rozumieli ją doskonale i krwią własną stwierdzali jej potrzebę, jej świętość.

Sięgnijmy pamięcią przeszło 100 lat wstecz, a znajdziemy w naszej historji Kościuszkę, który widząc, że wrogowie jak sępy rozdzierają naszą ziemię, widząc przed sobą niewolę, chwycił za miecz i krwią napisał te słowa: „Nie rzucim ziemi"!

A rok 1830 i 1831 i bitwy pod Grochowem, Ostrołęką, a pod słynną Olszynką, która trzy razy z rąk do rąk przechodziła; czyż to nie dowód, że ojcowie nasi znali tę przysięgę?

Z nią bronili Warszawy, z nią generał Sowiński, osaczony przez wrogów, na Woli pod Warszawą, w kościele, nie poddał się, ale zginął jak bohater!... Bo on przysięgał z innymi: „Nie rzucim ziemi"!

A ostatnie powstanie w 1863 i 1864 roku, czyż nie daje nam dużej liczby dzielnych bojowników, walczących za ziemię, za mowę ojczystą?

Langiewicz staje na czele wszystkich sił zbrojnych i nie lęka się walki ze smokiem rosyjskim. Czachowski, dobry wódz, zwycięzca w kilkunastu bitwach, ginie zarąbany przez kozaków. Ksiądz Mackiewicz, gorący patrjota, mąż prawy błogosła-

wi krzyżem powstańców i zagrzewa do boju. Ginie na szubienicy. Ksiądz Sciegienny, wywieziony na Sybir, zostaje zasieczony rózgami.

I w imię czego ginęli? — właśnie w imię tej przysięgi! I możnaby przytoczyć jeszcze długi, o, bardzo długi szereg tych bohaterskich postaci.

I zdawałoby się, że przegrali sprawę, że nic nie zrobili, bo stracili ludzi i sami zginęli.

— O, nie! oni wygrali — nie orężem, ale duchem. Oni stwierdzili czynem, przypieczętowali więzieniem, szubienicą, śmiercią od noży, od kul, że dobrowolnie ziemi rodzinnej, nie oddadzą.

Oni wygrali, bo swoim dzieciom zostawili w testamencie: miecz i rozkaz dalszej walki o niepodległość Ojczyzny.

Oni wygrali, bo ich dzieci, wnuki, prawnuki spełnili rozkaz testamentu i ciągle grozili wrogom mieczem,

„Nie rzucim ziemi"!

Wielka przysięga! stosowana w przeszłości, będzie zachowaną i w przyszłości.

Czyż tak?

Dzisiaj już dajemy dowody, że tej przysięgi nigdy nie złamiemy, że wolę naszych ojców, krwią w testamencie napisaną, spełniać potrafimy.

Oto poznańczycy stanęli jak jeden mąż pod broń i przeczytali krzyżakom te słowa: „Nie rzucim ziemi"!

Zachłanny Niemiec, choć przegrał wojnę, choć został powalony, jednak rzuca się jeszcze, pieni

się ze złości; tak mu dobrze było tuczyć się pracą naszych braci, że chciałby ich trzymać do końca świata w swoich kleszczach i wyciągać z nich ostatnie soki. Ale ci odpowiedzieli: „Dosyć, barbarzyńco“. Za łzy naszych dzieci, katowanych rózgami i za zmuszanie ich do pacierza niemieckiego, za wywłaszczenie, za tyle tysięcy twoich zbrodni, otrzymujesz z rąk naszych ostatni cios i jak zawsze, tak i dzisiaj powtarzamy ci: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród! Nie damy pogrześć mowy“.

Te same słowa przesyłają w odpowiedzi nasi bracia rusinom, którzy chcą nam Lwów odebrać.

A teraz, gdy wieje zimny wiatr ze wschodu, przynosząc ze sobą bolszewizm, teraz, gdy wiemy, że ten straszny bolszewizm, który doprowadził Rosję do ruiny, może i nas zarazić teraz, gdy mamy dowody, że tę bolszewicką chorobę, chcą nikczemni ludzie i u nas rozszerzyć, nasi bracia, a wasi towarzysze broni stanęli tam na wschodzie murem i orężem stwierdzają te słowa: „Nie damy, by nas zgnębił wróg“!

Nie damy, by naszą powstającą Ojczyznę trapił głód, bandytyzm, nieład, mord, bezprawie.

Nie damy sobie wyrwać wiary i Boga z serc naszych.

Nie damy, nie puścimy takiego wroga do kraju.

Żołnierze! I na was przyjdzie kolej, staniecie i wy naprzeciwko tych wrogów, którzy otaczają nasze gniazdo narodowe i nań czychają. Przyjdzie

ta chwila, ale jestem pewny, że ten sam okrzyk wydobędzie się z duszy waszej, że ta sama przysięga: „Nie rzucim ziemi! Nie damy pogrześć mowy!“ będzie dla was świętą przysięgą. Z nią pójdziecie na bój, z nią zwyciężycie.

Tylko pamiętajcie o tem, o czem pamiętała Konopnicka, dodając do tej przysięgi słowa: „Tak nam dopomóż Bóg“!

Tu w tych słowach mieści się powodzenie naszych wysiłków. Dobry jest zapał, dobre jest poświęcenie, dobre są chęci i postanowienia, ale to jest dopiero połowa. Druga połowa i stanowczo ważniejsza — to jest pomoc Boża. — Nie rzucisz ziemi, nie dasz pogrześć mowy, nie dasz, by cię zgnębił wróg, ale to wtedy, kiedy, o ile ci Bóg dopomoże.

Żołnierzu polski! Równolegle — jednocześnie z wojskowem przygotowaniem niech idzie prośba o pomoc do Boga. Nie bądź dumnym, nie bądź zarozumiałym, nie licz na własne tylko siły, nie licz, że ten karabin, ten kulomiot, ta armata, to już wszystko, to już zwycięstwo! I wyszkolenie potrzebne i zaopatrzenie w broń i amunicję jest niezbędne, ale to nie jest wszystko jeszcze, żołnierzu. Niemcy chybaś widział, jak byli zaopatrzeni pod każdym względem, a jednak przegrali, bo liczyli tylko na własne siły.

Otóż i ty, żołnierzu, nie licz tylko na siebie. Owszem, miej pewność, że się bronić potrafisz, że tchórzem nie będziesz, ale z tem wszystkiem pamiętaj! że zwycięstwo daje Bóg! Pamiętaj o tem,

jeszcze raz ci mówię, bo inaczej zawiedzie cię karabin.

Dlatego niech płynie do nieba, do Boga od ciebie prośba o pomoc w walce. Niech płynie modlitwa czysta, szczera o zwycięstwo w szlachetnej sprawie. Nie dla oka proś, nie językiem tylko proś, bo Bóg cię nie wysłucha i odwróci się od ciebie. Przecież i Niemcy, na każdym pasku mieli wypisane słowa „Bóg z nami", ale niestety, Bóg nie był z nimi, bo Go nie mieli w sercu, bo Go się nie bali w życiu.

Więc ty, żołnierzu, nie kuś tak Boga, jak Go oni kusili, ale w życiu, w postępowaniu swojem, bądź blizko Boga, a gdy walka rozgorzeje, gdy się znajdziesz w strasznej ciężkiej chwili, wołaj: „Tak mi dopomóż Bóg"! a stanowczo sztandar zwycięstwa zatkniesz na szańcu nieprzyjacielskim.

VIII.

„Bóg ich pogromcą był!“

Na poświęcenie kościoła w twierdzy Zegrze.

Półtora wieku płakał lud,
Tryumfowali kaci
Aż przyszedł kres na świata brud
I dumni potentaci
Runęli, starci w proch i pył.
Bóg ich pogromcą był!

Markowski.

Żołnierze!

W uroczystej chwili stanąłem tu na ambonie. Przemówić po polsku, w drogim ojczystym języku, przemówić z tego miejsca, z którego dawno nie przemawiał kapłan katolicki, a tak niedawno, bo przed czterema zaledwie laty, rozbrzmiewała jeszcze rosyjska mowa.

Wy odczuwacie tę dzisiejszą radosną chwilę; z waszych oczu, z waszych twarzy tryska to zadowolenie, to szczęście, że nareszcie, po długiej rozłące możecie się tu pomodlić po swojemu.

I kiedy patrzę na wasze rozpromienione szczęściem twarze, myślę sobie: jaka to, mój Boże, różnica, jaka zmiana. Stoją mi przed oczyma te zawsze smutne do niedawna twarze, widzę te polskie kropliste łzy.

Widzę tę straszną niewolę taką długą i taką ciężką, ciągnącą się nie rok, nie dwa, nie dziesięć, nie pięćdziesiąt—ale blizko półtora wieku.

Mój Boże! Półtora wieku płakał lud, płakał tu w Zegrzu, płakał tam w Warszawie, płakał lud po całej Polsce.

Pozwólcie, kochani słuchacze, że na chwilę zasmucę wasze oblicza opisem tej strasznej niewoli waszej: Zrobię to tylko dlatego, by wam tem jaśniej przedstawić ogrom szczęścia, jakie was dzisiaj spotkało, i zarazem pobudzić i siebie i was do podziękowania Bogu za Jego miłosierdzie nad nami.

Urodzeni i wychowani w niewoli, dobrze wszyscy pamiętamy jej okropności. Dziś gdy kaci przestali męczyć, gdy obroża z rąk i z nóg opadła, gdy szubienice stoją bezczynnie, — dziś powiadam, w tej chwili radosnej: trudno uwierzyć, żeśmy tyle przecierpieli. I wszyscy i zawsze i wszędzie. Jeszcze dziećmi będąc czuliśmy więzy niewoli: już język ściśnięto, skrępowano go tak mocno, że nie mógł powiedzieć tego, co serce czuło, ani w szkole, ani w sądzie, ani w kościele, ani nawet w domu. Kazano mówić to, co serce krwawiło: tytuły wrogów, śpiewać hymny tyranów. Sięgnięto dalej, aż do przekonań, aż do sumień, aż do religji. Ksiądz z parafji do parafji nie mógł

przejechać bez pozwolenia naczelnika; nabożeństw do Serca Pana Jezusa nie wolno było odprawiać; po klasztorach były ciągłe rewizje; księży wywożono na Sybir za kazania, za spowiedzi unitów. A sami unici co wycierpieli trudno opowiedzieć. Biedny Polak cierpiał podwójnie: za naród i za kościół.

I długie lata płynęły w takiej niewoli. Wrogowie wymyślali, coraz to nowe narzędzia katuszy; zdawało im się, że nareszcie będą z nas mieli Niemców, lub Moskali i dlatego nie ustawali w tej barbarzyńskiej pracy ani na chwilę.

I szły kibitki z Polakami na Sybir. Zapełniały się lochy więzień, sznury szubienic ściskały w swych objęciach coraz to nowe ofiary; tysiące szpiegów rozpuszczano po całej Polsce, aby tropili „nieprawomyślnych“, setki tysięcy siepaczy czuwało nad tem, aby żaden Polak nie śmiał wyciągnąć ręki po wolność, aby nie śmiał zawołać: „Polsko, Ojczyzno moja“!

Mimo jednak tej czujności i siły wroga, mimo tysiąca gotowych szubienic, tysiąca taczek w kopalniach syberyjskich, zrywali się Polacy do walki i chcieli przeciąć pęta niewoli. Najprzód w 1794 roku za Kościuszki; a potem w 1831 r., wreszcie po raz trzeci w 1863 r. Ale ulegli przemocy. Kaci tryumfowali. Jak szakale rzucili się na ofiarę i chcieli wyssać do reszty krew.

Lecz przyszedł kres na świata brud
I dumni potentaci runęli.

W swej potędze doszli prawie do wyżyn. Ale pokłócili się ze sobą. Dwa smoki uderzyły na trzeciego i ten trzeci, smok północy, runął zwyciężony. Zagarnęli ogromne obszary po nim, narzucili prawa, byli panami życia i śmierci, zwycięztwo za zwycięztwem odnosili we Francji, ale gdy doszli do szczytu sławy i gdy podłości, jakiej się dopuszczali, również doszła do szczytu — runęli. Runęli strasznie, z wysoka, bez zatrzymania się, runęli prawie nagle, runęli z woli Boga.

Bóg ich pogromcą był!

I otworzyły się więzienia, okowy spadły, zachmurzone niebo zaczęło się przejaśniać, różowy świt ukazał się na niebie, zwiastując wolność wszystkim Polakom, rozproszonym po całym świecie. Biały orzeł, symbol narodu, przykryty wiekiem trumny, zerwał się do lotu, wzleciał wysoko w przestworza i już jako wolny zanucił pieśń zmartwychwstania. Serca polskie zaczęły bić radośniej. Marzenia dziadów spełnione. Wysiłek ojców skuteczny. Krew przelana nie na darmo. Łzy szczęścia już, nie smutku, cisną się do oczu. Zapewne przyszłe pokolenia, zrodzone w wolnej Polsce nie doznają nigdy tego szczęścia, jakie nas spotkało. Wolni się urodzą — wolnymi pomrą.

Ale my niedawno, prawie przed chwilą, byliśmy niewolnikami, a dziś wolnymi obywatelami. Przedtem myśmy się cieszyli z każdej pieśni polskiej, myśmy z zachwytem patrzyli na każdy sztandar polski, myśmy chowali w ukryciu przed wrogiem, jak relikwje, orła białego, myśmy po-

kryjomu się uczyli języka i pacierza polskiego, a dziś, ogrom szczęścia w rękach naszych. Więc się dzisiaj cieszymy bardzo. I ty, ludu polski, cieszysz się niemniej, że ta świątynia, — praca i własność twoich ojców, przechodzi znowu do synów, że znowu wzleci pod stropy niebios echo pieśni polskich. Cieszymy się wszyscy, ale w tem szczęściu pamiętajmy o Tym, kto nas uszczęśliwił.

Żołnierze! Precz z pychą, precz z zarozumiałością, nie myślcie, że to wasze tylko karabiny zwyciężyły wroga, uszczęśliwiły Polskę, nie myślcie, że to koalicja zdeptała potęgę Niemiec. „Bóg ich pogromcą był!“ I nam szczęście przyniósł tylko Bóg. Karabiny — koalicja były tylko narzędziem w Jego ręku. On dał zwycięstwo! On podyktował wyrok sprawiedliwości!

Więc żołnierzu, nie zapominaj o tem, com ci przed chwilą powiedział, nie zapominaj dzisiaj, nie zapominaj jutro. Bogu zawdzięczasz, że jesteś dziś polskim żołnierzem. Bogu za to dziękować trzeba.

I ty ludu, licznie zebrany łącz swoje modły z modłami żołnierza, śpiewaj Bogu pieśń dziękczynną. I od wszystkich nas tu zebranych, czy duchownych, czy wojskowych, czy świeckich

Niech bije wiecznie hymnów dzwon
Na twoją cześć o, Boże!
Niech płynie pieśń, gdzie lśni Twój tron
O Jasnogórskie zorze.
Za te spełnione wieszczów sny
Za osuszone łzy!

(*Markowski.*)

IX.

W setną rocznicę śmierci Kilińskiego.

„Jeśli cię zapomnę, Ojczyzno moja miła, niech zapomnę prawicy ręki swojej. Niech język mój przyschnie do ust moich, jeżeli pomnieć na cię nie będę i jeżeli cię na czele wszystkich pociech moich nie położę". Psalm 136.

Żołnierze!

Tak mówił trzysta lat temu nieśmiertelny, złotousty Skarga. Tak przysięgał on, tak przysięgali po nim ci wszyscy, którzy prawdziwie kochali Ojczyznę. I gdyby sięgnąć pamięcią w historję naszego narodu, szczególnie porozbiorową, znaleźlibyśmy wielu, bardzo wielu Polaków, którzy dotrzymali słowa i nie zapomnieli o swojej Ojczyźnie. Pamiętali o niej do ostatniego tchu życia i tylko dobro Ojczyzny kładli na czele swoich pociech. Długi szereg, powiadam, roztoczyłby się przed naszemi oczami. A wśród imion tych mi-

łośników Ojczyzny, dzielnych jej obrońców, wielkich obywateli, nieśmiertelnych bohaterów, znaleźlibyśmy napewno imię pułkownika Kilińskiego.

Sto lat jak umarł Kiliński. Maszyny żadnej nie wymyślił, książek nie pisał, miljonerem nie był. A jednak po stu latach imię jego czczone w całej Polsce i dopokąd istnieć Polska będzie, Kiliński zapomnianym nie będzie.

A gdzież tego przyczyna?... gdzie zasługa?... Bo Kiliński kochał Ojczyznę. Nie na papierze, nie językiem na wiecu, nie przy stole suto zastawionym, ale kochał Ojczyznę czynem. Pierwszy zorganizował rzemieślników warszawskich i z szablą w ręku wypędził Moskali; opuścił żonę i dzieci, byleby bronić wolności Ojczyzny.

I dlatego dziś zebrani w tym kościele, chcąc uczcić godnie pamięć Kilińskiego, stawmy sobie przed oczy postać tego bohatera, wpatrujmy się w nią i zarazem porównajmy, jak on kochał Ojczyznę, a jak my ją kochamy?

Dziwne zrządzenie Boże! Dwa okresy czasu odmienne, dwa bieguny przeciwne, a tak do siebie podobne...

Kiliński żył wtedy, kiedy Polska staczała się ku przepaści, kiedy wrogowie szykowali się do trzeciego jej rozbioru, kiedy wojska nieprzyjacielskie gospodarowały w Polsce, jak we własnym domu.

My żyjemy w czasie, kiedy Polska dźwiga się z przepaści, kiedy wrogowie pobici, a ich wojska wygnane. Jednak, czy Kiliński, który się poświę-

cił dla Polski upadającej, czy my, którzyśmy stanęli w szeregach, by pracować dla Polski zmartwychwstającej, pomimo tej różnicy czasu, jaka nas dzieli, powinniśmy mieć jeden wspólny cel: dobro Ojczyzny. Dla tego celu żyć, pracować i umrzeć. Pod tym względem między nami, a Kilińskim wielka różnica. Patrzmy!

Inny, na miejscu Kilińskiego, dorobiwszy się dwóch kamienic, mając żonę i kilkoro dzieci, zamknąłby się w swoim domu i spokojnie bez troski spędzałby czas. Wytłomaczyłby sobie, że jest król, jest wojsko, są senatorowie niech oni dbają o całość Rzeczypospolitej. Kiliński, jako Polak prawdziwy, nie może się zamykać w pokoju, nie może się poświęcać li tylko dla żony i dzieci, bo wie, bo czuje, że wróg nad głową już trzyma miecz, że kajdany już dla Polaków gotowe, więzienia wybudowane. On nie mógł znieść tej sromoty, by nieprzyjacielska noga stała na polskiej ziemi i dlatego stanął na czele rzemieślników i wraz z nimi pierwszy podjął walkę o wolność kraju. Nie patrzy, że wróg silniejszy, że król siedzi cicho. On wie jedno, że mu sumienie nie pozwala cicho siedzieć, że to jego święty obowiązek ująć miecz w rękę i wypędzić wroga! Chora żona wybiega na ulicę za mężem, prosi go na wszystko, aby nie narażał całej rodziny na zgubę, ale Kiliński zamyka całą rodzinę na klucz w domu i idzie do walki. Jako dobry patrjota więcej kocha Ojczyznę, aniżeli rodzinę.

Walka rozpoczęła się w Wielki Czwartek

1794 roku. Pamiętny dzień, który przyniósł Kilińskiemu wiekopomną sławę, a nam—Polakom— piękną kartę w historji, że dobrowolnie okuć się w kajdany nie damy i wrogów naszych z mieczem w ręku z granic kraju wydalić potrafimy.

Prawda! Kiliński nie uratował Polski. Na to potrzeba było, aby każdy Polak był wtedy Kilińskim. Prawda, że wrogowie wkroczyli do kraju, rozebrali go po raz trzeci, wykreślili Polskę z liczby państw niepodległych, ale to wszystko nie zmniejsza tego blasku, jakim jaśnieje postać Kilińskiego. On zrobił swoje. W pamięci naszej pozostanie jako dobry, dzielny — wielki obywatel kraju i będzie nam służył jako wzór do naśladownictwa...

A jeżeli się zapytamy, jak my kochamy Ojczyznę, co też nam sumienie odpowie?

Ojczyzna nasza 122 lata była w niewoli. Okuta w kajdany, wrzucona do więzienia, strzeżona przez zbirów, bez należytego pokarmu, biedna Ojczyzna osłabła, wynędzniała. Toć więzień po roku opuszcza mury blady, wychudły, chwiejący się na nogach, a nasza Ojczyzna była tym więźniem 122 lata. Jaki duży okres czasu!

I dziś ta Ojczyzna się podnosi, ale tak słaba, że się podnieść nie może o własnych siłach, potrzebuje, ta matka, synów do pomocy. A synowie?

Oj, powiedzmy sobie prawdę. Jesteśmy zatruci niewolą. I ja i ty, żołnierzu, i ty, oficerze, wszyscy nosimy w sobie dużo, bardzo dużo śladów tego zatrucia, a tej Ojczyźnie nie chcemy pomóc, chociaż błaga nas o pomoc.

Mówimy nieraz pięknie o miłości Ojczyzny, przywdziewamy mundur bądź oficerski, bądź żołnierski i zasłaniamy się nim i myślimy, że już obowiązek względem Ojczyzny spełniony.

Ale słuchaj, zołnierzu! słuchaj, oficerze! czy ty możesz powiedzieć te wielkie słowa: „Jeśli cię zapomnę Ojczyzno moja miła, niech zapomnę prawicy ręki swojej. Niech język mój przyschnie do ust moich, jeżeli pomnieć na cię nie będę i jeśli cię na czele wszystkich pociech moich nie położę".

Ileż razy zapominałeś o tej Ojczyźnie kochanej, a myślałeś o wygodach, o kieszeni, o zabawach. Deptałeś obowiązki. Weź na świadka ducha Kilińskiego i zapytaj swego sumienia, czyś ty przyszedł dla pensji, czy dla dobra Ojczyzny? Jeżeli dla pensji — jesteś najemnikiem, ale nie Polakiem! Ty Ojczyzny nie kochasz!

Ciebie nie zaboli, że się własność państwowa marnuje; ciebie nie zaboli, że się próżniactwo szerzy; nie dopatrzysz okiem sobie podwładnych; sam rozkazy lekceważysz. I widać na każdym kroku gospodarkę taką, jaka była za Rosjan. Każdy swoją korzyść ma na oku i kradnie co się daje. Powiedz, czy ty kochasz Ojczyznę?...

Nie chcę by dzisiejsza uroczystość przebrzmiała bez echa korzyści dla sprawy naszego narodu i dlatego odzywam się do wszystkich: umiejmy żyć dla Ojczyzny! bo umierać dla niej potrafimy: czy na szubienicy, czy w katordze, czy w Hiszpanji, czy w Egipcie, czy na każdym froncie dzisiejszym, ale żyć dla Ojczyzny nie umiemy.

Czy oficer, czy żołnierz, czy z naszywką, czy bez naszywki, czy inteligentny, dyplomowany lub nie, każdy z nas powinien kochać Ojczyznę czynem. Każdy z nas obowiązany stawać się wielkim w wytrwałości, w prawości, w poświęceniu dla Ojczyzny, w sumiennem spełnianiu obowiązków. Pamiętajcie, że niema w wojsku małych obowiązków! Najmniejszy czyn powinien być sumiennie wykonany i już przez to staje się wielkim, już przez to staje się silnem ogniwem tego łańcucha czynów olbrzymich, czynów bohaterów.

Więc żołnierze! więc oficerowie! kochajmy Polskę czynem!

X.

„Dwom Ojczyznom służyć trzeba!“...

Żołnierze!

W każdym języku jest jeden wyraz, który ma długą, często olbrzymią, przebogatą historję. W naszym języku brzmi ten wyraz: „Ojczyzna“. Piękny drogi wyraz, zawierający w sobie czar, siłę, moc. Rzecz godna uwagi, że nic tak nie wiąże ludzi jak Ojczyzna, nic i nikt na świecie nie odbiera tyle poświęcenia, tyle ofiar jak Ojczyzna. Nie tylko z grosza, z mienia, ze zdrowia, ale z życia, ze krwi. Tysiące miljony ofiar płynęły i płyną dobrowolnie do stóp Ojczyzny. I dawniej i dzisiaj. Już matki spartańskie wysyłając synów na wojnę mówiły: „z tarczą lub na tarczy!“ Albo zwycięzca — albo trup!

A w ostatniej wojnie przecież siedm miljonów legło w mogiłach za Ojczyznę. Konając, jeszcze rzucali swoim towarzyszom, słowo pożegnania: „dulce pro patria!“ Miło umrzeć za Ojczyznę!

Czemże więc jest ta Ojczyzna?

Każdy naród od niepamiętnych czasów, a przynajmniej większość—zamieszkiwa pewien obszar ziemi. Tę ziemię uprawiał, ta ziemia go karmiła, do tej ziemi się przyzwyczaił, później ją pokochał. Zżył się z rzekami, które przerzynały kraj i wodami swemi użyźniały ziemię; ukochał swojskie góry i często się w nie wpatrywał, cieszył się drzewami, roślinami, pieścił niemi oko i korzystał z ich dobrodziejstw. I choć słyszał o lepszej ziemi, choć niektórzy szukali skarbów gdzieindziej, naród został na swoim zagonie, został na ojcowiźnie. Na niej się urodził, na niej pragnął umrzeć. Ta ziemia, którą pokochało tysiące, miljony osób, jest Ojczyzną...

I nietylko ziemia? Ojczyzną jest cały naród, czy wielki, czy mały, czy bogaty, czy biedny, czy oświecony, czy ciemny.

Ojczyznę stanowią te wszystkie zwyczaje, które powstawały latami całemi i które są właściwe każdemu narodowi.

Ojczyzna — to ten język, który jest skarbem, talizmanem każdego narodu.

To jest Ojczyzna i każdy naród ją posiada.

My, Polacy, posiadamy swoją polską Ojczyznę i tę pokochaliśmy całem sercem. Mamy swoje zdawien dawna zwyczaje, zawsze dla nas miłe, bo swojskie, bo nasze.

Mamy piękny, dźwięczny, wysubtelniony język znany nawet cudzoziemcom, mamy arcydzieła naszych mistrzów słowa. W tym języku wy-

śpiewano wszystko, co naród przeszedł od początku swego istnienia, wszystko, co robił, co czuł, co myślał, czem się weselił, kiedy cierpiał, jaką wiarę w sobie krył, wszystko powiadam w naszym języku zostało pięknie, barwnie oddane.

Mamy Ojczyznę, bo mamy państwo Polskie od morza, do Tatr śnieżnych, obecnie zniszczone, spustoszone, ograbione, ale mimo to dla nas zawsze drogie. Na tej to polskiej ziemi pracowali od wieków nasi pradziadowie; w niej, w tej ziemi pochowano ich kości; — w tę ziemię wsiąkała przez tyle lat krew polska, która obficie się lała w walkach z najeźdźcami w obronie wiary i mowy. Każdy Polak bardziej kocha Wisłę, niż Ren, Dunaj lub Wołgę. Dla nas modra Wisła, wijąca się poprzez całą Polskę, zostanie uroczą rzeką. Jej wody mają swoją historję związaną ściśle z historją całego narodu.

To samo z naszemi górami. Są góry wyższe, niebotyczne za granicą — ale nasze Tatry są dla nas milsze, bo one nasze, nie obce, nie cudze.

Prawda, nie rosną u nas rozłożyste palmy — ani cytryny, ani pomarańcze — ale i grusza polna ma dla nas swój urok. Dla nas stare dęby rozsiane tu i owdzie po kraju są przedmiotem podziwu i ukochania. One wyrosły jeszcze w Wolnej Polsce. Były świadkami naszego upadku, niewoli; rozrósłszy się w olbrzymie drzewa przypominały nam wielką naszą potęgę i, górując nad innemi drzewami, kazały i nam się wzbijać duchem ponad nędzę, niedolę, ponad marność i podłość.

Stąd ta ziemia jest dla nas świętą, ukochaną ziemią. Rozumieją to dobrzy Polacy i, chcąc ją godnie uczcić, okazać jej swoją miłość, pracują gorliwie dla niej. W każdej dziedzinie widać tę pracę. Jedni chcą podnieść naród etycznie; wiedzą, że upadek obyczajów jest upadkiem duchowej mocy narodu, więc budzą naród, krzewią iskry Boże, chcą zapalić ten naród do czynów szlachetnych. Drudzy pracują w dziedzinie przemysłu. Zrujnowane fabryki chcą odbudować, nowe postawić, zatrudnić tysiące pracowników, mieć wszystko swoje.

Inni starają się wykorzenić ciemnotę. Wznoszą szkoły, ochrony, urządzają odczyty, piszą książki uczone. A jeszcze inni zabezpieczają granice tej ziemi. Wstępują do wojska, idą w bój, nadstawiają swoje piersi, często giną, ale nie chcą oddać piędzi ziemi wrogom. Wszyscy oni pracują dla Ojczyzny, pracują dlatego, że ją kochają.

Ale żołnierze! Mamy jeszcze jedną Ojczyznę. Nie wiem, czy odrazu zgadniecie, jaką, bo o niej ludzie mało mówią. Czy się jej lękają, czy mało interesują, dość, że rzadko o niej wspominają, zazwyczaj dopiero wtedy, kiedy mają przestąpić próg wieczności. Nie jest to Ojczyzna narodowa, nie jest ani polska, ani francuska, ani angielska—ale wspólna. Do niej każda narodowość ma jednakowe prawo bez względu na zamożność i stopień kultury.— Jedna dla wszystkich. Domyślacie się, że mówię o Ojczyźnie niebieskiej. Może sobie pomyślisz, żołnierzu, że ci zawcześnie o tem mówię. Może

chciałbyś, aby tą sprawą zajmowali się księża, zakony po klasztorach, dewotki. — Prawda, patrząc na ciebie, widzę młodzieńca, w pełni sił, zajętego wojaczką nie na żarty. Ale słuchaj! czy ty nie będziesz starym?... A jeżeli nie zdążysz się zestarzeć, czy ty nie staniesz na progu wieczności, czy śmierć, myślisz, nie zajrzy ci w oczy? Może jutro przyjdzie rozkaz, abyś stanął do ataku, może pierwsza kula nieprzyjacielska twą pierś śmiertelnie przeszyje i czy zdążysz choć raz pomyśleć o tej zaziemskiej krainie? A pamiętaj, że się różnisz od stworzeń nierozumnych nieśmiertelną, nieumierającą duszą. Od Bogaś wyszedł, — do rąk Bożych się dostaniesz i żyć będziesz wieki. Czy szczęśliwie? czy w Ojczyźnie niebieskiej? Jesteś tam wezwany, ale, czy będziesz wybrany, od ciebie zależy.

Pod tym względem smutne zjawisko spostrzegamy. Lenistwo wzięło dusze w swoje posiadanie. Spiączka, bierność, martwota ogarnęła ludzi wojskowych w zdobywaniu cnoty. Tę sprawę jako nie pilną odłożono na potem, a tymczasem wzięto się z zapałem z iście żołnierskim ogniem do tego, by jaknajprędzej zburzyć w sobię cnotę, podeptać ją w drugich, choćby za cenę zdrowia i przyszłego szczęścia. Tak się dzisiaj pracuje dla Ojczyzny niebieskiej. Tak się tę Ojczyznę kocha. Smutne, ale prawdziwe.

Żołnierze! nie chcę skończyć bez słowa prośby do was i udzielenia wam wskazówek na dalsze życie. Macie pracować dla Ojczyzny ziemskiej

i niebieskiej; macie służyć i tej i tamtej. Żadnej wam nie wolno zdradzić, żadnej opuścić, ale obydwom wiernie służyć. Tu musi być łączność, nierozerwalność. Kto służy prawdziwie Ojczyźnie niebieskiej—ten jest moralnym, sumiennym, prawym, uczciwym, pracowitym, bo tego Bóg od niego żąda, inaczej do nieba go nie wpuści—a przecież te wszystkie zalety są potrzebne żołnierzowi! — Bez nich żołnierz nic nie wart!—pomyśl nad tem, żołnierzu, com ci powiedział!... i pokaż, że umiesz wiernie służyć tej drogiej, ukochanej Ojczyźnie ziemskiej i tamtej, w górze—krainie nadziemskiej.

XI.

„Słuchaj, co Chrystus mówi!“...

Żołnierze!

Jedną z pięknych przypowieści, jakie Chrystus głosił jest przypowieść o siewcy, który wyszedł siać ziarno,—nasienie. Gdy siał, jedno padło koło drogi i zostało zdeptane; drugie padło na opokę, wzeszło, ale z braku wilgoci uschło; trzecie znalazło się między cierniami i zostało zaduszone, a czwarte natrafiło na ziemię dobrą i wydało stokrotny owoc. Pierwszym siewcą był Chrystus, który przyszedł na ziemię i żył razem z ludźmi. Żył ubogo. Do trzydziestu lat nikomu nieznany. Dopiero ostatnie trzy lata Jego życia pokazały, czem był naprawdę. Znalazł się wśród barbarzyńskiego, zepsutego, zgangrenowanego świata sam Jeden,—Jedyny. Miał stanąć do walki z podłością, miał podnieść świat, miał wskazać światu drogę do krainy szczęścia, a tu widział tyle przeszkód, tyle chwastów, rolę nieuprawioną. I nie zraża się

tem wszystkiem. Dla dobra ludzkości opuszcza dom rodzinny i idzie między tych, zepsutych ludzi. Idzie do nich z nową nauką, ze słowem, które od Boga przyniósł—idzie jako niezmordowany pracownik i rzuca między nich ziarno nauki Bożej.

Rzuca między wszystkich, ale jak czytamy w Ewangelji, to ziarno Boże przyjęło się zaledwie w duszach szczupłej garstki. Reszta—była skalistą rolą,—reszta piła po dawnemu kielich rozkoszy światowej, czy w rozpustnym Rzymie, czy w obłudnej Jerozolimie. Nikczemność ludzka posunęła się do tego, że straciła Chrystusa śmiercią krzyżową. Ale nie zgładziła nikczemność ludzka Jego wielkiej, mądrej, cudownej nauki. Ta została wiernie przechowaną przez tych nielicznych uczniów Chrystusowych. Została przechowaną,—spisaną i przekazaną następnym pokoleniom, bo życzeniem Chrystusa było zasiać swojem ziarnem dusze wszystkich ludzi. I tych, co żyją—i tych, co żyć będą aż do końca—świata. W tej myśli ustanowił kościół, ustanowił kapłanów, dając im rozkaz: „Nauczajcie wszystkie narody". Posłuszni rozkazom Chrystusa, jako Jego słudzy — głosili, głoszą i głosić będą nieustannie Jego naukę. Nasze usta nie zamilkną, dopókąd nie zamilknie na świecie szatański, szyderczy uśmiech. Nasze oczy nie będą patrzeć spokojnie na brud, na występki, na podłości. Nasze serca, choć są ziemskie, muszą czuć nie po ziemsku—muszą pałać wiecznym ogniem miłości ku Chrystusowi i do tej miłości

zagrzewać tych obojętnych, zimnych, zlodowaciałych katolików.

A tych bardzo wielu w naszej Polsce. Mają zamiłowanie do różnych rzeczy, do bardzo trudnych, niekiedy męczących, ale do nauki Chrystusowej niema zamiłowania. Jedni studjują latami, po za granicą, z wielkim kosztem fizykę, chemję, strategję, technikę wojskową; oddają się zapamiętale muzyce; drudzy całemi nocami tresują w tańcu swoje nogi, nie patrząc na zmęczenie. Na balach szukają rozkoszy życia. A któż czyta i zgłębia naukę Chrystusową? Kto ze świeckich umie przedstawić zasady wiary katolickiej? Kto z wojskowych bierze książką katolicką do rąk? Ilu żołnierzy przychodzi do kościoła w niedzielę i święto by się pomodlić, usłyszeć słowo Boże? Część tylko, kilku, najwyżej kilkunastu oficerów. Reszta uważa to za przeżytek średnich wieków, uważa za rzecz mało pożyteczną, zabierającą czas niepotrzebnie—i zgodnie ze swoim poglądem, obywa się bez kościoła — bez słowa Bożego. Nie chcąc zrywać otwarcie z wiarą zewnętrznie, tacy przyznają się do katolicyzmu i swojej oziębłości chcą nadać pozory tłomaczenia. Więc błoto stało na przeszkodzie, nie pozwalało dojść do kościoła, więc zimno, niepogoda zmusiła pozostać w domu, zbytnia odległość kościoła też męcząca. A tymczasem, gdy chodziło o wieczorek, o zabawę — nogi zaprowadziły na salę balową i przez błoto—i przez zimno, i przez odległość, i punktualnie — nawet

wcześniej. Zato w niedzielę takie wyczerpanie, niewyspanie, że chyba Pan Bóg się nie rozgniewa, gdy się kościół opuści—i nie wysłucha słowa Bożego. Ci zaś, którzy słuchają tego słowa Bożego, nie wszyscy mogą się pochwalić dobrym plonem, nie wszystkie serca są rolą uprawioną, nie u wszystkich to ziarno Boże się przyjmuje. Bóg przez usta kapłanów hojnie rzuca nasienie—nasienie dobre, zdrowe, zdolne do życia, — ale niestety!...

Jedni depcą to ziarno. To są ci, którzy przyszli do kościoła, słuchają niby słowa Bożego, ale jednem uchem tylko. Jeżeli coś dostanie się do ucha, drugim—wylatuje zaraz tu, na miejscu, w kościele—i do serca, do duszy, do głowy trafić to słowo Boże nie może. Odrazu z miejsca jest podeptane.

Drudzy są podobni, jak mówi Ewangelja—do skalistej roli, wiemy, że na takiej roli długo roślina żyć nie może z braku wilgoci. To samo dzieje się z rolą serc ludzkich. Słowo Boże pada na taką rolę—narazie żyje, kiełkuje—ale żyje do czasu resztkami swoich soków. Korzenia zapuścić nie może. Wkrótce z braku odżywczych kropli łaski Bożej, z braku siły duchowej, i z powodu zatwardziałej w grzechach, powiem skalistej duszy,—słowo Boże więdnieje i schnie.

Inni wreszcie to są ci, których rola serc leżała długie lata odłogiem — nieuprawiana — była miejscem, gdzie rosły gęsto, najróżnorodniejsze chwasty i osty. Było tam wszystko: i przekleń-

stwo i kradzież i łapownictwo i rozpusta, nie było tylko nasienia dobrego. To też, gdy to ziarenko dobre Bóg posiał na takiej roli — nie doczekał się plonu. Chwastów było więcej. Ziarno dobre borykało się, chciało się wybić do góry, ale chwasty zwyciężyły i przygłuszyły ziarno. Owocu nie przyniosło.

Tylko mała garstka z pośród słuchających była dobrą rolą. Zbrodnie na sumieniu nie ciążyły, grzechy również, serca były przygotowane— uprawione, więc gdy siewca rzucił ziarno Boże, przyjęło się—zakiełkowało i nie mając przeszkód, ale przeciwnie, doznając ciągłej opieki, przyniosło owoc stokrotny.

A powiedz mi, żołnierzu, jaką ty jesteś rolą? jaką jest twoja dusza? czy zatwardziała w grzechach, jak skała, czy zachwaszczona, jak ugor — czy też pulchna, uprawiona—zdolna przyjąć słowo Boże i wydać plon obfity? Powiedz mi, żołnierzu! Czy ty słuchasz nauki tylko dlatego, że jeszcze ci nie kazał sierżant wyjść z kościoła? czy też słuchasz po to, aby rzeczywiście się czegoś nauczyć i poprawić swoje życie. A może wcale nie słuchasz — tylko wyczekujesz niecierpliwie końca i oglądasz malowidła.

Odpowiedz sobie w myśli, odpowiedz swemu sumieniu, które się pyta przez moje usta, a którego oszukać nie potrafisz. O! smutna wypadnie odpowiedź. Boć gdybyś słuchał słowa Bożego dobrze, gdybyś się stosował w życiu do nauki Chrystusowej, gdybyś zwilżał modlitwą swoją

twardą duszę, gdybyś wypleniał chwasty i uprawił swoje serce, innym byłbyś człowiekiem. Inną byłaby nasza armja, innym byłby nasz naród. Nie byłoby „pawiaków“, domów karnych, sądów wojennych. Słuchaj żołnierzu! Słuchaj cierpliwie. Ja ci pieszczot nie mówię, ja twojej naturze nie schlebiam, ja ci mówię ostrą prawdę, — bo kto ci ją powie? Powiedzą ci, jak cię złapią na przestępstwie i ukarzą cię. Wtedy ci powiedzą, ale wyrok—jak długo masz siedzieć w więzieniu. Ale ja ostrzegam cię dzisiaj, ostrzegam zawczasu jako swego brata, Polaka, jako żołnierza-parafjanina i mówię ci jeszcze raz: „Słuchaj słowa Bożego“! Ono cię nie zepsuje, grzechu nie nauczy, ono cię powstrzyma od niejednej zbrodni, ono cię uszlachetni, splamić nie pozwoli — ono, to słowo Boże, będzie ci pochodnią w życiu, obronną tarczą. Tu za życia obdarzy cię ambicją, poważaniem u ludzi, a gdy się przeniesiesz w krainę życia pozagrobowego, w nagrodę zaznasz wiecznych chwil rozkoszy.

XII.

„Bóg cudowny, a szczęście zmienne".

Na przyjazd do Modlina posłów do Sejmu.

Dostojni Goście,

Drodzy żołnierze!

Wielkie słowa pozostaną zawsze wielkiemi. A gdy się nadarzy stosowna chwila, pamięć wydobywa te słowa, choćby z wiekowej przeszłości i czerpie z nich naukę. Właśnie dzisiaj znalazłem stosowną chwilę, sięgam myślą wstecz na trzy wieki, do czasów Jana Kazimierza, do tych najcięższych chwil jego panowania.

Szwedzi w Warszawie, cały kraj plądrują: część zdrajców Polaków przechodzi na ich stronę; król z wiernym wojskiem tuła się jako wygnaniec. Karol Gustaw, król szwedzki, staje się panem ży-

cia i śmierci. Butny, zarozumiały, oglądając pamiątki Krakowa, odzywa się do księdza Szymona Starowolskiego: „Widzisz, jak ja jestem potężny! wszystko drży przedemną, cała Polska w moim ręku!“ A ksiądz Starowolski odpowiada mu na to: „Deus mirabilis, fortuna variabilis;—Bóg cudowny, a szczęście zmienne“. Wkrótce sprawdzają się jego wielkie, pamiętne, prorocze słowa. Szwedzi uciekają, a król Jan Kazimierz wraca do Polski.

Wielkie te słowa przytaczam, bo stojąc wobec szczęścia, jakie dzisiaj naszą Ojczyznę spotkało i pamiętając miniony ucisk, każdy Polak musi powiedzieć: Rzeczywiście — „Bóg cudowny, a szczęście zmienne!“

Niedawno — na naszej ziemi byli wrogowie. Przez sto z górą lat bez przerwy krzyczeli: „Vae victis!“—biada zwyciężonym!; przez sto z górą lat tyranizowali ducha polskiego. Wszyscy oni myśleli o jednym tylko: o naszej zagładzie.

Tu, w Modlinie, stworzyli sobie punkt oparcia dla barbarzyńskiej pracy. Wybudowali fortecę—istne miasto. Porobili ogromne wały i mury; nagromadzili tysiące żołnierzy.

Tu, w Modlinie, w cytadeli więzili najlepszych Polaków; torturowali ich w ohydny sposób. Nikt im nie mógł przyjść z pomocą. Nikt nie mógł ich nawet odwiedzić, bo szereg bram, wałów, murów, krat i bagnetów bronił dostępu do nich. Tylko jęki naszych więźniów odbijały się o grube sklepienia żałosnem echem. Biedni! nie wszyscy wyszli stąd żywi! Część zawisła na szu-

bienicy; część zginęła od tortur. Gdyby Pan Bóg wzbudził do życia kości tych męczenników, stanęliby przed nami w licznym orszaku. Cześć ich pamięci! cześć po wszystkie wieki!

Tu, w Modlinie, kościół katolicki przerobili na cerkiew. Ducha prawosławia wraz z szowinizmem rosyjskim szerzyć chcieli. Czasem dobrocią, czasem pieniędzmi, orderami, urzędami, a gdy te środki nie pomagały, grozili pięścią wykrzykując: „biada wam!“

Ale szczęście zmienne. Te miljonowe urządzenia przeszły w nasze ręce. W cytadeli, miejscu tortur, już nie masz Polaków, więzionych za wolność. Kościół, który służył Rosjanom przez długie lata, dziś jest miejscem modlitwy dla polskich, katolickich dusz. Jakaż to radość, patrzeć na biało-amarantową chorągiew, powiewającą nad twierdzą! Jakież to szczęście, słyszeć polską mowę tu, gdzie dawniej nie wolno było polskiego słowa wymówić! U ołtarza katolicki, polski ksiądz. W kościele, w twierdzy polski żołnierz.

I tego żołnierza odwiedza polski poseł do Sejmu.

O zaiste! Bóg cudowny. Jego siła skruszyła nasze pęta. Jego Wszechmoc zwyciężyła dumnych tytanów — zbrodniarzy.

Jego sprawiedliwość dała się przebłagać narodowi polskiemu i wymierzyła nam wyrok wolności, wyrok zjednoczenia, wyrok niewysłowionego szczęścia.

Więc dzisiaj wszyscy uroczyście za wieszczem naszym—Zygmuntem Krasińskim, powtarzamy:

Za ból ciała — za ból duszy,
Za stuletni ciąg katuszy,
Dziękujemy Ci, o, Panie!
Darmo, darmo nasze wrogi
Ach! bluźniły, żeś bez serca
I mówiły, żeś morderca—!
Tyś umarłym wytknął drogi...

Ba, za umarłych wszyscy nas mieli. Akt naszej śmierci dawno spisano, a Bóg dobry wytknął nam drogę. Dał nam Ojczyznę, wielką Ojczyznę. Zdziałał cud.

Ale teraz na nas kolej!

Do pracy! Żołnierze! wszyscy do pracy! jak na komendę—i budujmy twierdzę! Twierdzę silną, twierdzę potężną, niezdobytą. Ale żołnierze! nie mury, nie wały, nie cytadele, nie lochy podziemne mają być naszą twierdzą. Nie! Takich arcydzieł Rosja posiadała wiele, a jednak one jej nie obroniły. Francja straciła ich wiele, a jednak sama nie zginęła. Czemu? bo w Rosji ducha nie było, a Francja tego ducha nie straciła na chwilę. Toteż i naszą twierdzą ma być przedewszystkiem silny duch w żołnierzu. Twierdzą Polską ma być wasz zapał, wasze poświęcenie. Twierdzą Polską ma być wasza obowiązkowość. Polską twierdzą ma być żołnierz moralny, nie zgangrenowany, nie bezwyznaniowiec, nie ten, co się wstydzi w kościele przeżegnać i zgiąć kolano, nie ten, co przychodzi do kościoła tylko wtedy, kiedy rozkaz, kie-

dy uroczystość narodowa. Twierdzą Polską ma być żołnierz religijny, ten wiarus, ten prawdziwy rycerz, który z honorem, po rycersku żyje, po rycersku idzie do ataku i po rycersku umiera.

Żołnierze! Naszą twierdzą mają być wasze piersi zahartowane, mężne, nieugięte, niezłamane. One lepiej od betonów obronią naszą Ojczyznę przed najazdem wrogów. Budujmy takie twierdze!

Dostojni Goście! stoją w szeregach przed wami w tym kościele żołnierze polscy. Młodzi żołnierze, może niepokaźni, ubogo ubrani, ale wierzajcie, że to są zapaleńcy. To są ci, którzy w pogardzie mają śmierć, to są ci, którzy rwą się na front, to są ci, którzy nie czekali na pobór, ale sami zgłosili się do wojska, by w najcięższych chwilach dla Ojczyzny być na jej usługach. Cieszą się i wszyscy się cieszymy, żeście do nas przybyli, że wam żołnierz nie obcy, że pragniecie wniknąć w jego potrzeby i tym potrzebom w miarę możności zaradzić. Jak to miło! Swoi do swoich przybyli! Tem serdeczniej was witamy!

Niechże, Dostojni Goście, wasz przyjazd do twierdzy zadzierzgnie ściślej węzeł łączności z żołnierzem polskim. A gdy żołnierz poczuje, że za nim stoi naród, gdy dozna pomocy materjalnej i moralnej będzie niezdobytą warownią. O takiej to warowni marzył Cyprjan Godebski, poeta-legjonista, który zakładał pierwsze polskie szańce Modlina.

Wszyscy staniemy się Wielkim Narodem, jeżeli pamiętać będziemy o tem, że przedewszyst-

kiem należy budować warownie w samych sobie, należy wzmacniać, hartować, rozszerzać w sobie ducha. Duch narodu niech będzie potężny w walce ze złem i zwycięzki w dobrem, a Polska już nigdy nie zginie.

Daj, Boże! byśmy należeli do tych szczęśliwców, do tych wybrańców, o których powiedział Krasiński:

W tę Ojczyznę nieśmiertelną,
Mimo działów, niepodzielną,
Na tę ziemię ukochaną,
Na tę naszą, naszą ziemię,
Przyjdzie nowych ludzi plemię,
Jakich jeszcze nie widziano!

XIII.

„Marjo! bądź matką żołnierza polskiego!“

Na uroczystość święta Zwiastowania Najświętszej Marji Panny.

Dzisiaj święto Marji. Posłaniec z nieba ogłosił Jej, że zostanie Matką Boga. Zaszczyt dla Niej wielki, a dla nas radość nie mniejsza, bo jak mówi poeta:

Jest ta myśl błoga, jest ta myśl droga,
Że matką naszą, jest Matka Boga!

„Myśl droga!“ Chcąc ją zrozumieć, trzeba najprzód zrozumieć głębię wyrazu ziemskiej matki.

Już jesteście młodzieńcami dorosłymi. Już sami potraficie zarobić na utrzymanie, dacie sobie radę w życiu, ale wiem, że i dzisiaj ten wyraz „matka“ nie jest dla was obojętnym. Na jego wspomnienie przychodzą nam do głowy lata dziecinne. Żyliśmy wtedy bez troski — na płacz mat-

ka miała lekarstwo, tuląc nas do łona, na głód dawała pierś matczyną, w chorobie klęczała nad naszą kołyską i nie spała całemi nocami. Gdyśmy podrośli, pielęgnowała nas jak latorośl młodą. Wnikała w potrzeby, odczuła smutek, — pocieszyła, — w nieszczęściu dała pomoc — radę. Nikt lepiej nie rozumiał naszej duszy, jak matka. Do nikogo w rodzinie nie zwracaliśmy się z taką śmiałością i zaufaniem, jak do matki, nigdy lepiej nam nie było i nie będzie, jak wtedy, gdy matka czuwała nad nami i strzegła nas jak źrenicy oka swego.—Prawdę powiedział Antoniewicz:

Potąd dobrze i błogo na świecie,
Pokąd na ziemi ma matkę dziecię.

I przekonany jestem, że chociaż wyszliście z pod opieki matczynej, chociaż może niejeden z was w życiu zranił serce swojej matce i może rzadko o niej myśli,—to jednak opieka waszej matki nie ustała. Ona myśli o was codziennie; ona modli się przy każdym pacierzu, żeby was Bóg zachował przy zdrowiu, przy życiu. Jej ręka zawsze wyciągnięta do zrobienia znaku krzyża nad wami, jak już go czyniła przy pożegnaniu, prosząc Boga, abyście cało wrócili pod swój dom rodzinny. Gdyby mogła przyszłaby tu do was pieszo, by was jeszcze raz zobaczyć i z wami ostatnim kawałkiem chleba się podzielić.

Prawda, są między nami tacy, którzy matki już nie mają. Odeszła w inny świat. — Nie doczekała tej chwili, by wyprawić syna do wojska,

pobłogosławić, uścisnąć, zapłakać nad nim. Ale i tam, z wysokości patrzy, czuwa nad wami i stamtąd, z za grobu, przesyła wam te same rady, upomnienia, jakie wam na ziemi dawała; przesyła wam błogosławieństwo swoje. Matka — to wielki skarb!

I drugi skarb mamy jeszcze. Mamy drugą Matkę nie umierającą, ale wiecznie żywą, wiecznie nad nami czuwającą, o tyle większą i potężniejszą, o ile niebo większe i potężniejsze od ziemi. Mamy Matkę w niebie. Matkę—Boga samego. Ile współczucia, ile opieki, ile miłości okazała nam ta Matka, trudno wyrazić!

Do niej biegnie dusza znękana, strapiona, warunkami życia, opuszczona przez wszystkich. Biegnie z ciężarem moralnym i natychmiast doznaje ulgi — ukojenia. Rozterka wewnętrzna znika odrazu.

Do Niej biegnie dusza złamana życiowo, którą obojętność, niewiara toczyły długie lata; nie śmie ta dusza podnieść wzroku do Chrystusa — więc biegnie do Marji i Ta oręduje za nią, wyprasza jej łaskę nawrócenia.

Do Niej w chorobie, do Niej w nieszczęściu, do Niej w czasie wojny, do Niej przy skonaniu udaje się każdy. Do Niej cały naród polski biegnie i wybrał Ją sobie oddawna za Matkę. Marja polubiła nas za to, zamieszkała prawie uroczyście, prawie widocznie, na naszej, polskiej ziemi. Polubiła sobie Częstochowę, Wilno, Studziannę, Sulisławice, Skępe, Kodeń i wiele, wiele innych miejscowości i z tych różnych punktów Rzeczypospoli-

tej Polskiej rozsiewała i rozsiewa po dziś dzień zdroje łask na cały naród — hojnie, szczodrą ręką.

A gdy widziała kraj nasz w nieszczęściu, gdy gromy spadały na nas, jak błyskawice w czasie burzy, gdy wszyscy stracili nadzieję — załamali ręce i czekali rychło nastąpi zupełna klęska: Ona, ta Matka narodu naszego, podtrzymywała ducha, Ona rozpraszała zwątpienia, Ona udaremniała śmiertelne ciosy. Tak, było za czasów króla Jana Kazimierza. Cały kraj zalali Szwedzi. Zabrali Warszawę, Kraków. — Wojsko polskie pobite. Król na tułaczce. — Cios bolesny dotknął naród polski. Wszyscy zwątpili. Jedna Częstochowa nie straciła wiary — jeszcze tego grodu Marji nie zdobyto. Szwedów jak mrowia. Otoczyli mury Częstochowy,—ustawili armaty i dalej szturmować! Sypały się pociski na naszych. Chwilami zdawało się, że już po wszystkiem, 160 polskich żołnierzy i 70 zakonników nie sposób, żeby stawili czoło takiej licznej hordzie. Mimo to Marja nie dała sprofanować swego tronu,—nie opuściła swego narodu, wzmacniała białą postać przeora Kordeckiego, wzmacniała tę garstkę załogi i przez 40 dni oblężenia krzepiła ich zapał i męstwo. — Wytrwali. Szwedzi uciekli. Częstochowa ocalała.

I czyż Marja nie jest naszą Matką?

Czyż nie godzi się Ją nazwać Królową Korony Polskiej?

A któż pomagał naszym wojskom pod Grunwaldem, pod Chocimem, pod Wiedniem? Do kogo się zwraca Jagiełło o pomoc? Kogo prosi bo-

haterski Stefan Czarniecki, Sobieski o zwycięstwo? Jedna odpowiedź: Marja pomagała — Marja dała zwycięstwo.

Za to czci Ją cały naród w przeróżny sposób. Układa dla Niej piękne, wzruszające, melodyjne pieśni. Słowa są tak proste i zarazem rzewne, że zdolne są wywołać w najtwardszym słuchaczu poważne refleksje.

Ku czci Marji wznosi naród polski majestatyczne świątynie. Marjackie kościoły—są to dzieła niezrównanej sztuki. Urok, powaga, wzniosłość jaka z nich bije, świadczy wymownie o tem, że niemniej wzniosłą i głęboką jest cześć wewnętrzna narodu do Marji.

A któż policzy te kapliczki, rozsiane przy wiejskich drogach, te figury przechowywane z taką prostotą i kultem, te tysiące tysięcy obrazów Marji różnego pędzla, różnej postaci, różnego wezwania? W każdej wiejskiej chatce jest ich po kilka, kilkanaście. A ileż w całej Polsce?

Czemu noszą wierni szkaplerz Marji? Czemu odmawiają różaniec? Śpiewają godzinki? Czemu hufce rycerstwa polskiego szły do walki śpiewając „Boga-Rodzico“?—Przez miłość, przez wdzięczność ku Marji. Nie mogą serca polskie zapominać o swej Matce i kiedy ciepłe dnie nastaną, rwą się na Jasną Górę całemi kompanjami; lecą prawie na skrzydłach, — nie czują zmęczenia, nie czują głodu, niewygód — nie liczą kroków; opuszczają dom, rodzinę i obowiązki—i spieszą do Marji przez lasy i wioski, przez boczne—polne drogi, ochoczo

z pieśnią na ustach, z krzyżem na czele. Trudno znaleźć Polaka, któryby choć raz w życiu nie odwiedził Jasnogórskiej Pani!

A ty żołnierzu polski jak kochasz Marję? Czy twoje serce rwie się ku Niej? Czyś ty Jej nie zasmucił, serca nie zranił? — Podobno medalika nie nosisz, różańca się wstydzisz, do Niej się nie modlisz? Ostygło twoje serce, — zamarło uczucie wdzięczności ku Tej, która cię prowadziła przez tyle niebezpieczeństw, przez tyle ciężkich chwil na wojnie — od kołyski do dnia dzisiejszego.

Słuchaj żołnierzu! Jeżeli cenisz swoją matkę rodzoną i ją kochasz nad życie — oceń i pokochaj Matkę Niebieską za tę troskliwą opiekę nad naszym narodem i nad tobą. Jeszcześ nie przepłynął burzliwych fal tego życia, jeszcze cię czeka niejeden wir, niejedna burza! jeszcze przejdziesz w życiu, niejedno szamotanie ducha — jeszcze potrzeba ci wiele, wiele sił, by zawinąć do portu swych marzeń — swego przeznaczenia. Kto ci pomoże? Kto ci poda rękę, gdy będziesz tonął? Kto rany duszy zabliźni? — balsam wleje? w smutku pocieszy? kto ci poda gałązkę szczęścia doczesnego, o którem ciągle marzysz? — Marja! - Ona tuż przy boku Syna swego. — Jedno słowo szepnie i Bóg wysłucha — nigdy nie odmówi.

Marjo! Byłaś i jesteś Matką narodu polskiego. Dzięki Ci za to! Broniłaś rycerstwa naszego, prowadziłaś go do zwycięstwa, do blasku, do chwały — składamy Ci za to hołd rycerski! Dzisiaj bądź Matką żołnierza polskiego! On jest teraz rycerzem

bez hełmu i bez pancerza idzie do boju — idzie na śmierć. Ojczyzny broni. W tej ciężkiej walce, Ty bądź mu hełmem, Ty bądź mu pancerzem!

Gdy, stojąc na warcie w noc księżycową, zaduma się o swym domu, o swej chatce, gdy tęsknota zagra jego sercem, pociesz go, Marjo wtedy!

Gdy w czasie boju rannego ujrzysz, Marjo, zaopiekuj się nim, zabliźnij ranę, pomóż do zdrowia.

A gdy śmiertelną kulą ugodzony—konać będzie,—daj mu łaskę wymówić przed śmiercią to wielkie słowo: „Matko!“ i zamknij szczęśliwie powieki.

Marjo! bądź Matką żołnierza polskiego!

XIV.

Na Rezurekcję.

Wesoły nam dzień dziś nastał,
Którego z nas każdy żądał,
Tego dnia Chrystus zmartwychwstał.
Alleluja, Alleluja!

Tak śpiewaliśmy przed chwilą, obchodząc trzykrotnie nasz kościół. Wszystko pobudzało nas do tej wesołości, wszystko nastrajało rzewnie. Cichy, ciepły wieczór, niebo roziskrzone płomykami gwiazd, dzwony biją, huczą armaty, pochodnie się palą, gra orkiestra, a kapłan niesie Chrystusa ukojonego w Najśw. Sakramencie. Za Chrystusem Zmartwychwstałym kroczą czwórkami żołnierze i nucą Mu pieśń zmartwychwstania. Prawdziwie wesoły dzień! I powiedz, żołnierzu, czemu ten dzień wesoły? Skąd ta radość, po co ta pamiątka? Odpowiem za ciebie. Chrystus, jako Bóg, zwyciężył dzisiaj śmierć, zwyciężył podłość. Trzy lata pracował wśród swoich rodaków. Czuły na

nędzę, wszystkich ratował. Niejednego głodnego nakarmił, niejednego chorego uzdrowił, wskrzeszał umarłych, wdowom łzy ocierał, grzesznikom przebaczał i dał naukę światu, naukę wzniosłą, idealną, o jakiej świat dotąd nie słyszał. Uczył kochać, uczył cierpieć, uczył żyć. Ale mała garstka uczniów poszła za Mistrzem. Reszta zapomniała o cudach, o dobrodziejstwach, o naukach. I nietylko zapomniała o tem, ale posunęła się dalej w podłości. Nie mogła znieść, scierpieć Chrystusa na ziemi. Czemprędzej starała Go się pozbyć i zaprowadziła na Golgotę. Tam jako zbrodniarza, obok dwóch łotrów, ukrzyżowano. Zdawało się, skończone wszystko. Niema już Chrystusa. Już po Jego nauce. Niestety! Dzień wesoły nastał. Mocą Bożą wychodzi Chrystus z grobu, potwierdza swoją naukę, potwierdza nowym cudem dawne, otwiera wszystkim podwoje nieba i w niem króluje odtąd nad całym światem, czuwając, by nauka Jego dotarła do najdalszego zakątka świata. Dlatego śpiewamy: „Wesoły nam dzień dziś nastał!“.

I tembardziej wesoły, że ze Zmartwychwstaniem Chrystusa łączy się polityczne zmartwychwstanie narodu. Prawda, nigdy dzień Wielkanocy nie był smutnym dla Polaków. Czy kajdany najboleśniej raniły, czy cele więzienne najbardziej nami były przepełnione, czy podczas wojny, kiedy łzy strugami prawie ciekły po policzkach na widok spalonych chat, zburzonych kościołów, straconych synów i mężów — zawsze w tym dniu

tłumił każdy Polak cierpienie i śpiewał na Rezurekcji: „Wesoły nam dzień dziś nastał“. Polak nie mógł się oprzeć uczuciu radości w tym dniu. Ale dzień wesoły szybko przeminął. Radość na chwilę błysnęła, zaświeciła i zgasła. Na jej miejscu ukazało się z powrotem cierpienie. Gęste kraty więzienne, jak widma, stały przed oczyma. Z za krat wyglądały blado-żółte, wychudłe twarze męczenników. Oczy mieli utkwione gdzieś w dal, jakby coś widzieli. Patrzeli długo, milcząco, prawie nieruchomo. Czasem zmienili milczenie na smętną, prawie rzewną, pieśń o wolności. Zgrzyt kajdan, jęki przyprowadzonych ze śledczych tortur i ostatnie słowa, jakie z pod szubienic dochodziły od kolegów, wtórowały ich pieśni, dodawały siły.

— „Przetrwamy!“—mówili. Odbierzemy swoją własność! Odwalimy płytę grobową! Za nimi powtarzał te słowa cały naród i zrywał się do walki, szarpał nie raz, nie dwa. Ale grób był głęboki, płyta za ciężka, siła za mała. Mimo to, wzrok narodu wciąż był utkwiony w dal—patrzył nieustannie, czy czasem promień wolności nie przedrze się do grobu.

I dojrzał nie jeden promień, nie sto, ale całe słońce. Przy jego blasku, po 123 latach męczarni, wyszedł ten naród z grobu, wyszedł wolny, bez straży, zmartwychwstał politycznie. I w tym roku, dzisiaj, w tej chwili, obchodzimy po raz pierwszy Zmartwychwstanie Chrystusa, jako już Zmartwychwstały Naród.

To też, jeżeliśmy śpiewali co wielkanoc: „Wesoły nam dzień dziś nastał“, chociaż to była może Wielkanoc w czasach największego ucisku, to dzisiaj chyba najgłośniej, chyba najserdeczniej powinno się rozlegać echo tej pieśni po całej Polsce, jak długa i szeroka.

I jeszcze czemu dzień dzisiejszy wesoły? Bo część z pośród was, żołnierze, zmartwychwstała na duszy, oczyściła się z grzechów. Na każdym z nas leżał kamień ciężki, który nie pozwalał podnieść oczu w górę, ku niebu, ku Chrystusowi, ku światłu, ku prawdzie, ku cnocie. Przeciwnie, ten kamień gniótł nas do ziemi, do świata, do zmysłowości, do rozpusty. Tym kamieniem były nasze grzechy i jakie ciężkie, jakie częste, prawie nałogowe, oddawna, jak czerw, toczące nasze dusze. I żyliśmy bez Boga, bez pacierza, bez kościoła, bez spowiedzi, marnowaliśmy zasługi Chrystusa, marnowaliśmy Jego krew za nas przelaną.

Na szczęście promień łaski trysnął, wcisnął się do duszy; sumienie zgrzytnęło, a potem serce zmiękło i wielu z was zrzuciło ten kamień. Przyszli do spowiedzi, otworzyli duszę grzeszną przed Bogiem i z żalem przyrzekli poprawę. Dla tych dzień dzisiejszy jest stokroć weselszym.

To są powody, dla których serce bije dzisiaj głośniej, to są powody, dla których widać radość, wesele, zadowolenie na waszych twarzach. Zmartwychwstanie Chrystusa, Zmartwychwstanie Polski i zmartwychwstanie wielu dusz żołnierskich. Potrójny powód potrójnej radości dla wielu.

I cóż wypada wam uczynić wobec tego ogromu szczęścia, jakiem nas Chrystus obdarzył? Czem mamy zaznaczyć naszą ku Niemu wdzięczność? Czem?

Żołnierze! Spojrzyjcie tam! na wielki ołtarz. Tam teraz, w tej chwili jest utajony Chrystus. Jest tak blizko, tuż przy nas, wpośród nas. Więc zwróćmy swe twarze i serca ku Niemu, a ja w waszem imieniu zaniosę do tronu Bożego modlitwę wdzięczności:

— Spojrzyj, Chryste! usłysz, bo płynie do Ciebie, od nas tu zebranych, podzięka za to, żeś otworzył krainę szczęścia wiecznego i wskazał do niej drogę.

Płynie podzięka za to, żeś nas nauczył żyć tu na ziemi, żeś Zmartwychwstaniem swojem przekonał świat cały o Boskości swej nauki i o tem, że Sam byłeś, jesteś i będziesz Bogiem.

Płynie do Ciebie, o Chryste, korna podzięka za to, żeś wielu z nas podniósł na duszy. Oni o Tobie zapomnieli, nie znali po kilka lat. Oni Cię ranili, dokuczali, a Tyś im przebaczył, oczyścił i Ciałem swojem nakarmił. Dziękują Ci, Chryste, dzisiaj i jeszcze raz proszą o przebaczenie.

Płynie do stóp Twoich również jedna, gorąca, serdeczna podzięka, płynie nie tylko od nas, tu zebranych żołnierzy, nie tylko od całej polskiej armji, ale od całego narodu polskiego. Od starców siwowłosych i od dzieci ledwie paciorek mówiących; od zamożnych dworów i od chat ubo-

gich; od tych, co stopami swemi stanęli już na własnej ziemi, jak również i od tych, którzy jeszcze daleko są od ziemi rodzinnej. Czy we Francji, czy w Ameryce, czy gdzieś w Rosji w tem morzu bolszewickiem i od nich wszystkich, od całego narodu, powiadam, płynie rzewna podzięka do Ciebie, o, Panie, za to, żeś naszej Polsce dał Zmartwychwstanie, żeś pozwolił, żeś pomógł wyjść z grobu, w którym było tak ciężko, tak duszno.

Dzięki! nieustanne dzięki Ci, o, Boże, za ten dar, za ten skarb! Wszyscy, jak jeden mąż, śpiewać Ci będziemy z całej piersi: „Wesoły nam dzień dziś nastał — Alleluja!“

XV.

„Ten jest jedyny Szlak
Odrodzenia naszego".

Na poniedziałek Wielkanocny.

Żołnierzu! zmartwychwstań duchem!...

Tak się odzywam do każdego z was. Odzywam się, jako ten, który ma krzesać iskrę Bożą w sercach waszych, który ma zapalać do czynów szlachetnych, który nie może zamykać oczu na to, co jest złego wpośród was. Muszę śmiało, otwarcie wytknąć błędy i rany ducha i wskazać sposób leczenia się z nich. Prawda, przyjemniej jest nie dotykać ran, ale cóż, kiedy przyszłość narodu naszego zależy od tego, czy się wyleczymy z wad, odziedziczonych po przodkach i z ran, zadanych nam przez wrogów w czasie niewoli, czy też nie? Czy mamy być zdrowem państwem, czy ciągle chorem? Ponieważ mojem i waszem gorącem pragnieniem jest, aby Polska była Wielką Polską,

a widząc jedną, jedyną drogę ku temu w leczeniu zastarzałych i świeżo nabytych wad i ran, — wołam do was, żołnierze, jako do obywateli kraju: Zmartwychwstańcie duchem!

Wspomniałem już na Rezurekcji, że część z was zmartwychwstała duchowo, oczyściła się z grzechów. Ale dzisiaj chciałbym was wszystkich widzieć zmartwychwstałych i nie tylko z grzechów, ale i z wad narodowych, ze wszystkich złych nałogów i przywar, ze wszystkich naleciałości, które się przylepiły do naszej polskiej skóry ze szkodą dla naszego organizmu. O, tak! pod każdym względem mamy się podnieść, pod każdym względem mamy się reformować, przemieniać, przeobrażać. Dzisiaj, po zdobyciu wolności, tembardziej trzeba się wziąć do pracy, bo pamiętajmy, że wolność się traci. I stratę tej wolności trzeba ciężko, boleśnie i długo opłakiwać. Mamy smutny przykład z własnej historji.

Pamiętajmy również, że nawet, mając wolność możemy być pogrążeni w niewoli. Dowodem — bolszewicka Rosja, gdzie życie miljonów jest życiem niewolników, skazanych na tyranję czerwono-gwardzistów.

O ile więc chcemy być narodem wielkim, naprawdę wolnym, jeżeli chcemy, by zmartwychwstanie nasze polityczne było wiekowem, trwałem zmartwychwstaniem, musimy jako naród odrodzić się duchowo, odnowić, musimy się zmienić.

Mamy zalety, które niech pozostaną przy nas na wieki, ale mając jednocześnie bez porównania

więcej wad, niż zalet, musimy z niemi zrobić porządek. Musimy je uważać jako wrzody, jako pasożyty na naszym organizmie, które trzeba coprędzej poddać operacji i je usunąć.

W tym wypadku trzeba naśladować mądrego ogrodnika. Ten na wiosnę ogląda po kolei każde drzewko i sumiennie przeprowadza operację: co niepotrzebne—obcina, co szkodliwe wyrzyna i maścią ogrodową smaruje, korę oczyszcza, wapnem pobieli, ziemię wokoło skopie, użyzni, dostęp do słońca zrobi, nada drzewinie rozłożystą koronę i tem dłużej, tem staranniej robi z drzewkiem porządek, im dłużej było bez opieki, im gorzej zapuszczone. O ile tego ogrodnik nie robi, drzewko choruje i zamiera.

— Tak było z naszem drzewem owocowem, z naszą Polską kochaną. Ukazały się na niej liczne pasożyty, liczne wady, rany. Nie miał ich kto obcinać, leczyć, pielęgnować. I dlatego nasz organizm państwowy został przez te narośle, przez te wady wycieńczony, wyssany, aż wreszcie w znacznym stopniu przez te własne wady usechł i umarł.

Przyznajmy się wszyscy, że tych operacji na charakterze swoim dokonywaliśmy rzadko i bardzo niedbale. Co było szkodliwem, co wyssało niepotrzebnie z nas soki, co było wadą naszych ojców — to pozostało w nas do dnia dzisiejszego. Tej pielęgnacji, tego doglądania, opatrywania, obcinania, tego balsamowania ran nie robili nasi

przodkowie, nie robiliśmy i my i nie chcemy robić.

Patrzcie! naszym ojcom brakowało zgody, tej wielkiej cnoty narodowej, tego cementu, który spaja wszystkich w jeden organizm. Brakowało tej cnoty naszym ojcom wtedy, kiedy nóż był na gardle narodu, kiedy wrogowie już nam krew puszczali. Nawet wtedy brakowało tej cnoty! Ten do Sasa, inny ciągnął do lasa.

A nam, synom, czy nie brak tej cnoty? Podobno brak. Różnica mundurów już nas dzieli; różnica formacji, w jakiej przedtem służyliśmy już jest powodem do starć w rozmowie, do wyróżniania w służbie.

A czy jest u nas praca solidna, sumienna, obowiązkowa? Czy jest?

Jest zbywanie, aby zrobić, aby dla oka—aby na tymczasem. A któż zrobi na dłużej, na dobre? Kto? Czy to Polska ma istnieć tymczasem, kilka miesięcy? Czy będziemy ją tylko łatać? Czy tak Polak powinien mówić?—tak powinien robić?

A czy jest u nas prawość charakteru? Czy mając stanowiska większe lub mniejsze, a nawet najmniejsze, czy na tych stanowiskach nie splamiliśmy rąk i duszy.

O! przykro o tem mówić, ale trzeba zaznaczyć, że służąc u obcych, u wrogów zaraziliśmy się ich wadą, umaczaliśmy tam ręce w smole, nie umyli ich dotąd i przywiera do nas to, co nie powinno przywrzeć. Smutne, ale prawdziwe!

A gdzie jest nasza punktualność, gdzie słow-

ność, gdzie tyle innych zalet, niezbędnych do tego, aby się rozwinąć w Naród Wielki?

Są jednostki i tu między nami, które rzeczywiście zmartwychwstały duchowo, które nie idą śladem wad ojców swoich, którzy pracują bez rozgłosu, w ciszy pracują sumiennie, solidnie, krzepiąc się tylko tą myślą, że dla Polski, dla Ojczyzny pracują. Są tacy. Jest ich niewielu. Cześć im!

Reszta dopiero musi powstać, musi obejrzeć swój charakter, musi odciąć niejedno, postarać się o wiele — musi, powinna się odrodzić.

Czy ty słyszysz, żołnierzu?

Musisz się odrodzić! Nie myśl, że tamten, że nie ty,—przeciwnie, zacznij każdy od siebie reformę gruntowną. Zacznij od przygotowania gruntu; wyrzuć wszystkie śmiecie, oczyść się przed Bogiem, zmartwychwstań najprzód z grzechów, bo to jest podstawa, fundament odrodzenia, a dopiero później, weź się do dalszej pracy na tym gruncie. Pracuj w ten sposób:

Jesteś niezgodnym, wyróżniasz się, z góry patrzysz na tych, którzy nie byli w tej samej, co ty, formacji wojskowej, dzisiaj zapomnij o tem. Tyś żołnierz i on żołnierz. Obydwaj jesteście polskimi żołnierzami.

Jeden cel—zwyciężyć wroga! Jeden duch — miłość Ojczyzny! Na niezgodę miejsca niema!

Jesteś nieobowiązkowym, zmień się w tej chwili. Dewizą twego życia niech będzie obowiązek. Żadne wykręty, żadne trudności w spełnieniu obowiązku nie mogą mieć miejsca, a tem-

bardziej niegodne żołnierza polskiego, gdy interes kieszeni lub przyjemności zastępuje obowiązek.

Jeżeli masz pracę wykonać, zrób ją, jak się należy—nie byle jak, aby prędzej. Nie—rób dłużej — wolniej, ale dobrze. Nie krzywdź swego kraju.

Jeżeli praca ciężka, nie wymyślaj, nie narzekaj, nie klnij, bo to wygląda, jakbyś swojej Ojczyźnie wymyślał.

Jeżeli byłeś niepunktualnym, zrób postanowienie, że odtąd takim nie będziesz. Masz wykonać pracę we wtorek — niech na ten dzień będzie wykonaną. Przyrzekłeś być o 10 godzinie w kościele, nie spóźniaj się na minutę. Żadnego tłomaczenia nie uznawaj. Miej tylko silną wolę i ją hartuj!

Żołnierze! powiedziałem wam to, co mnie boli, co musi boleć każdego dobrego Polaka, co napewno i was boli. Bo niema wpośród was żadnego chyba, któryby nie chciał szczęścia, rozkwitu dla Polski. Jeżeli więc wszystkim wam leży na sercu dobro naszego kraju, przyszłość narodu—jego świetność—potęga—wszyscy, jeszcze raz wołam: zmartwychwstańcie na duchu! Oczyśćcie ręce i serce! Otrząśnijcie z siebie wady! Przetnijcie wrzody i leczcie rany, jakie zadała wam niewola. Przyozdabiajcie ducha waszego w nowe cnoty, nowe zalety, których nam dotąd brak, a które tak nam są potrzebne!

Ten jest jedyny szlak Odrodzenia Naszego!

XVI.

„Wznośmy nowy gmach!“...

W rocznicę Konstytucji 3 Maja.

Żołnierze i Ludu Polski!

Po ulewnych, zimnych dniach dał Bóg pogodę. Niebo czyste, błękitne, wesołe. Gdzieniegdzie mała chmurka przesunie się cichutko, słońce świeci jasno, grzeje dobrze, widać jest radosne. Lekki wiaterek porusza od czasu do czasu młodym liściem i chłodzi nas delikatnie. Piękny dzień — trzeci maj! Wszystko nam sprzyja!

A u nas w twierdzy prawdziwe, wielkie święto. Wszyscy postrojeni, wszyscy weseli. Wszyscy: i duchowieństwo i oficerowie i żołnierze i związki robotnicze i straż ogniowa i młodzież szkolna. Każdy chce złożyć dziękczynienia Bogu za to, że nasz naród przed 128 laty stworzył konstytucję— mądrą, wielką ustawę. Każdy chce uczcić ojców

za to, że stojąc nad przepaścią, zrozumieli grozę położenia i nie chcieli w błędach ginąć.

Nie bez rozrzewnienia przemawiam do was, bracia—żołnierze, o tej konstytucji. Nie bez wzruszenia chcę mówić do ciebie, licznie zebrany, Ludu Polski!

O konstytucji mówić mi trzeba dzisiaj. I mówić o niej będę, ale pozwólcie, że, chcąc wykazać doniosłość konstytucji 3 maja, przedtem wspomnę o tem, jaka była Polska przed konstytucją.

Gdy się przegląda karty naszej historji, bije z nich w pewnych epokach potęga, świetność, rycerskość, zamożność. Toć z chlubą każdy czyta o czasach Kazimierza W., z dumą wspomina o połączeniu Litwy z Koroną za Jagiełły, o panowaniu Batorego, który po rycersku bronił granic Rzeczypospolitej, o Janie Sobieskim, pogromcy Turków i obrońcy świata chrześcijańskiego. Piękne były to czasy! Gmach państwowości polskiej był mocnym w swoich fnndamentach, bogatym i ozdobnym w zwycięstwa. Zdawało się, że nigdy nie runie, nikt go zburzyć nie zdoła.

Złudzenie... Rycerskie miecze nie pordzewiały, ale ich mało. Skarb pusty. Prusak zarzuca kraj fałszywą monetą, a rząd bezradny, bezsilny; byle warchoł, sprzedawczyk, zdrajca krzyknie jeden na sejmie „veto“, nie pozwalam, i żadna rozumna uchwała nie przejdzie. Rządzi tylko szlachta. Król prawie bez władzy. Przy wyborze swoim musiał szlachcie zapewnić różne przywileje, a sam

nie miał dla siebie nawet niezbędnego przywileju, zwanego posłuszeństwem poddanych.

Lata całe mijały, a na lepsze się nie zanosiło. Przeciwnie, coraz gorzej się działo. Część gmachu polskiego zaczęła się rysować. Potrochu szczeliny się powiększały. Sąsiedzi, gdy to spostrzegli, rzucili się na tę słabą, rysującą się część gmachu, rozbili ją i podzielili się łupem. To był pierwszy rozbiór Polski w 1772 r.

Otworzyły się oczy niektórych Polaków dobrej woli. Ujrzeli zagrażające niebezpieczeństwo. Zrobili obrachunek swoich przeszłych czynów i doszli do przekonania, że czemprędzej trzeba gmach podpierać i zabezpieczać od dalszej ruiny. Na Sejmie Czteroletnim, w dniu uchwalenia Konstytucji, Marszałek Sejmu, Stanisław Małachowski, odzywa się do posłów w te słowa: „Obrót kolei pomyślnych z niepomyślnemi przeplatany bywa. Dostrzegamy, jak potężne mocarstwa do upadku, a słabe do podźwigania się przychodzą. Polska sama najwidoczniejszym przykładem się staje. Wyobrażamy ją sobie przed trzema wiekami świetną i wyrównywającą innych państw potędze. Została potem własnych błędów i obcych zaborów smutną ofiarą; kraj stał się łupem, obywatele wzgardą okryci, własność ich ku wygodzie obcej służy".

Cisza panowała na sali. Wszyscy posłowie czuli, że chwila nader poważna. I wśród tej ciszy zabrał z kolei głos król. Był wzruszony, gdy mówił:

„Jeżeli rychło nie zaradzimy sobie, może za dwie niedziele czy wojna, czyli pokój wyniknie, jakiekolwiek przedsięweźmiemy środki, już za późne będą. Jest zaiste zamiarem wszystkich otaczających kraj polski sąsiadów, aby nas w niedołężności jak najdłużej utrzymać".

I dlatego po tych przemówieniach postanowiono zatwierdzić Konstytucję. Pracowano nad nią trzy lata i wypracowano wzór konstytucji. Zniesiono haniebne „liberum veto", zniesiono wybór króla a postanowiono, że tron ma być dziedziczny. Nie przekupstwa, nie intrygi, nie ustępstwa dla szlachty stanowić będą o kandydacie na tron, ale syn po ojcu panować będzie. Rządzić narodem odtąd będzie nie tylko szlachta, ale i mieszczanie—a stan włościjański otoczyć prawną opieką. Dla obrony całości państwa i swobód narodowych postanowiono stworzyć silną armię.

Radość ogólna zapanowała w Polsce. Wszyscy byli spragnieni tej reformy.

Nastał jasny, wesoły dzień dla upadającej Polski. Umysły Kołłątaja, Ignacego Potockiego, Małachowskiego tryumfowały. Zwyciężył patrjotyzm. Nie skłamali, oświadczając we wstępie konstytucji, że „cenią drożej nad życie niepodległość zewnętrzną i wolność wewnętrzną narodu".

Chcieli zasłużyć na błogosławieństwo, na wdzięczność współczesnych i przyszłych pokoleń i zasłużyli. Dopókąd mowa polska istnieć będzie, dopókąd na świecie chociaż jeden Polak żyć będzie, nie zaginie pamięć Konstytucji, nie zaginą

jej twórcy, nie zaginie nigdy, przenigdy, Trzeci Maj. Cześć Wam dzielni Polacy!

Gmach podparty, zabezpieczony — rysować się dalej nie będzie. Wady długoletnie, zakorzenione— wyrzucono. Dawna świetność narodu powróci. Nowe życie, nowe tchnienie, nowy okres historji się rozpocznie.

Niech żyje Konstytucja! krzyczą tłumy, krzyczy cała Warszawa, krzyczy okolica, krzyczy cała Polska.

I w tej samej chwili rozlega się drugi krzyk, odmienny, złowrogi, podły, nikczemny, krzyk naszych sąsiadów: „Dalej na Polskę!“

Widzą, że Polska się dźwiga i wkrótce się dźwignie na dobre, więc czemprędzej biorą się za ręce i w trójkę uderzają do ataku. Zburzyli gmach państwa polskiego, zrabowali go doszczętnie, podzielili się zdobyczą. To był drugi i trzeci rozbiór.

Odebrano Polsce prawo do wolności. Wykreślono ją z liczby państw: przestała istnieć. Dopiero w czasie wojny obecnej przypomniano sobie Polskę. Bóg im kazał sobie przypomnieć i przywrócił nam wolność.

Dziś, jako wolni, widzimy, że z naszego gmachu polskiego zostały tylko ruiny, zgliszcza. Został tylko teren. Na nim mamy wznieść nowy gmach narodowy. Jesteśmy tem pokoleniem szczęśliwem, które kładzie fundamenty pod ten gmach. Jesteśmy, a raczej mamy być tymi pierwszymi budowniczymi.

Czy słyszycie? mamy budować Polskę! Twórcy Konstytucji chcieli ją podeprzeć, by nie upadła, ale ratunek był spóźniony, a podłość wrogich sąsiadów wielka. I upadła. Dzisiaj mamy ją wznieść, mamy ją nanowo budować. Teraz mamy okazać swoje zdolności, swój patrjotyzm, swoje poświęcenie. Teraz, przy tej budowie, mamy być podobni do twórców Konstytucji 3 maja. Uchwały jej w niektórych rzeczach i nas bezwzględnie obowiązują i nawet w większym zakresie.

Najprzód, chcąc budować Polskę, trzeba mieć pieniądze. Zawsze w Polsce skarb chorował na suchoty. Zawsze Polacy żyli nad stan. Dziś mamy być oszczędni w szafowaniu swoim własnym groszem. Jesteśmy biedni, wyczerpani, więc tembardziej mamy się z groszem liczyć. Nie tracić na kieliszek, na przysmaczki, na pieścidełka, nie górować tem, co to ja znaczę. Nie! — twoim obowiązkiem dzisiaj oszczędzać, bo od tego zależy wzniesienie bogatego narodowego gmachu. Oszczędzać trzeba również grosz publiczny, bo skarb ubogi. Podatki nie mogą pokryć wszystkich wydatków. W początkach swego istnienia już Polska zadłużyła się na 5 miljardów i jeżeli tak gospodarka nasza pójdzie, jak dotąd, co rok powiększać się będą miljardowe pożyczki i w państwie naszem nie zakwitnie dobrobyt. Dużo jest naszej winy, że na niepotrzebne rzeczy wydajemy tysiące, że mając niesumiennych pracowników, nie kontrolujemy ich starannie. Państwo bez skarbu, to człowiek bez ręki.

Dalej, chcąc budować Polskę, trzeba pracować. Nie tak, jak dotąd, nie jak za rządów rosyjskich, nie jako najemnik tylko — nie! Dzisiaj nie wolno ci powiedzieć, że to rządowa robota, nie wolno lenić się w robocie, bo im więcej budowa gmachu kosztować będzie, tem większy podatek płacić będziesz.

Więc trzeba nam pracy sumiennej i przytem zbiorowej, pracy wszystkich.

Konstytucja 3 maja zrównała mieszczaństwo ze szlachtą, a włościjaństwo wzięła pod opiekę prawa. Dzisiejsza Polska, dzisiejszy rząd posuwa się dalej,—różnic nie robi między stanami. Wszyscy jesteśmy równi — czy szlachcic, czy mieszczanin, czy włościjanin, czy bogaty, czy biedny, czy uczony, czy prostaczek. Każdy jest dzisiaj Polakiem, każdy obywatelem, każdy ma i musi pracować na korzyść Polski.

A wznosząc ten gmach narodowy, pamiętać należy o tem, żeby go nie śmiał nikt nam zburzyć. Żeby sąsiedzi, otaczający nas dokoła, obawiali się tknąć naszą własność.

A obawiać się wtedy będą i gmachu nie zburzą, jeżeli go będzie strzegła silna armja, jeżeli będzie na zawołanie silne wojsko.

To jest konieczny warunek i niezbędny wydatek dla zabezpieczenia w całości gmachu i zawartego w nim majątku.

Pozatem jeszcze jednej rzeczy nam potrzeba przy tej budowie. Wspominałem już o pieniądzach, o pracy sumiennej wszystkich obywateli, o wojsku,

jako straży tego gmachu i zdawałoby się, że to już wszystko.

Ale nie! Ludu polski i żołnierzu drogi! Jeżeli wybudujemy Polskę, jeżeli wykończymy ten gmach narodowy, nie zapominajmy na nim zatknąć Krzyża Chrystusowego. Ten Krzyż, który był naszą ucieczką w czasach niewoli, pociechą w cierpieniu i wreszcie zwycięstwem, niech dalej widnieje i całemu światu głosi, że w myśl Konstytucji 3 Maja, Polska pozostanie zawsze katolicka, że Polska nigdy się nie zaprze wiary Ojców swoich, że Polska nie zmasonieje, nie zwyrodnieje moralnie.

Słyszysz, ludu? słyszysz, żołnierzu? jaką budować masz Polskę?

Wszystkim wrogom, wszystkim sąsiadom daj to poznać. Jeżeli taką wybudujesz Polskę, jeżeli postawisz przy niej na straży i silną armię, a obok Krzyż Chrystusowy, Ona, ta Polska Droga, nie zginie na wieki.

XVII.

„Bądź czystym!“

Żołnierze!

Miło jest mówić o rzeczach ciekawych, wesołych. Przyjemnie jest słuchać o nich. Wiem o tem. Radbym wam o takich rzeczach mówić, ale darujcie, dzisiaj nie mogę. Dzisiaj minorowo, smutnie nastrojona jest dusza moja. Ból się dzisiaj do niej zakradł. Wcisnął się głęboko ból wielki, którego ukryć nie mogę w sobie i dzielę się nim z wami. Sądzę, że jest on i powinien być jednocześnie waszym bólem, żołnierze drodzy! Przypuszczacie, że wam powiem smutną nowinę? Tak smutną—nie nowinę wprawdzie, ale rzeczywistość wam już wiadomą. Straszna to jest rzeczywistość, tem straszniejsza, że się odgrywa na naszej ziemi i nawet jeszcze w tym czasie, kiedy ręce powinny być całemi dniami złożone do modlitwy, a usta powinny szeptać nieustanną pieśń podzięki Bogu Wszechmocnemu.

Nie będę mówił dłużej tajemniczo. — Powiem wam otwarcie już: zakradł się i opanował naszą duszę jeden wielki, ciężki, ohydny grzech nieczystości. Nie daje nam spokoju, a raczej my jemu od wczesnych lat dziecinnych do późnej starości.

Zaraża się epidemicznie setki, tysiące dusz niewinnych. Jak wezbrane wody Wisły, w czasie powodzi, wychodzą ze swego łożyska i zalewają pobliskie wioski, gubiąc w swoich bystrych falach wszystko, co napotkają,—tak również nieczystość rozlała się szeroko po całej Polsce. I po miastach i po wsiach, wśród bogatych i ubogich, wśród inteligentnych i prostaczków, wszędzie znalazła przytułek. Płynie bez przeszkód, bez żadnej tamy, topiąc w swoich zdradliwych, nibyto rozkosznych, nurtach całe legjony młodzieńczych istnień.

Jak niegdyś Djogenes chodził z latarnią w biały dzień, aby znaleźć uczciwego człowieka, chyba dzisiaj trzeba również z latarnią szukać czystego młodzieńca. Ten piękny, urodny, zapalny wiek młodzieńczy stracił powabną zaletę — wstyd.

Młodzieniec dzisiejszy wbił sobie zasadę Epikura do głowy: „rozkosz najwyższem dobrem", więc używa. Przebiera w pannach jak w towarze, niejednej przysięga, potem porzuca i z inną idzie do ołtarza. Nie słyszy, nie czuje wręcz, że za nim tuż idzie do ołtarza płacz i przekleństwo uwiedzionej.

Natura się tego domaga, odpowiada na upomnienia. Natura się domaga, by drugą istotę unieszczęśliwić. Natura się domaga, by się zniżać do

zwierząt nierozumnych, dogadzać wyuzdanym zmysłom.

Podłość i kłamstwo, za które natura wymierza karę już tu na ziemi w namacalny sposób. Jedyny grzech, który skryć się nie może na długo. Szpitale weneryczne zdradzają przestępców.

Może te słowa nie zdolne są was poruszyć. Więc obliczmy: co ten grzech daje miłującym go?

Mają przyjemność. — Tak. — Czują zadowolenie, piją z kielicha rozkoszy, której życie, skądinąd tak smutne i ciężkie, bardzo szczupło udziela.

Przypuśćmy, że to prawda. — Ale obliczmy szkodę jaką niesie ze sobą ta rozkosz?

Za chwilę przyjemności traci się wieczne chwile rozkoszy. Po przejściu progu wieczności przyjdą inne, smutne, rozpaczliwe chwile.

Zdawałoby się, że później, gdy minie szał młodzieńczy, człowiek grzeszyć przestanie. Ale gdzietam!

Grzech nieczystości zamienia się w taką namiętność, połączoną z brakiem odporności, że człowiek lgnie do niego jak mucha do lepu, jak ćma do ognia.

Ciągle, nieustannie woła ciało: rozkoszy! Pokutę odkłada się na stare lata, a tych starych lat może Bóg nie da doczekać. Czy taki człowiek nie jest stracony dla nieba?

Nie mniej jest straconym i dla społeczeństwa. Wszyscy ludzie stanowią jakby jeden organizm społeczny. Każdy człowiek pojedyńczo stanowi cząstkę tego organizmu, jest, że tak powiem, ogniwem

tego długiego łańcucha, jest maleńkiem kółeczkiem w zegarze społecznem. I o ile ten pojedyńczy człowiek nie jest chory, o tyle cały organizm społeczny jest zdrowy; o ile to ogniwo jest silne, o tyle cały łańcuch społeczny jest silny; o ile pojedyńczy człowiek jako kółko normalnie działa, o tyle cały mechanizm, całe społeczeństwo normalniej funkcjonuje.

A człowiek rozpustny, człowiek nieczystej namiętności, czy jest zdrowym człowiekiem? czy jest silnem ogniwem? czy funkcjonuje normalnie?

Przedwcześnie dojrzał, nastąpił przesyt, wycieńczenie sił, brak woli, niezdolność do solidnej pracy, niezdolność do założenia ogniska rodzinnego, a jeżeli je założy, to będzie to grono istot wątłych, suchotniczych, które w wieku młodzieńczym bliżej będą śmierci, aniżeli zapału do życia. Rozwiązłe życie rodziców mści się surowo na potomstwie i gangrenuje całe pokolenia. Zjawiają się na świat nie barczyste, silne, zdrowe organizmy— ale karły...

Wreszcie najbardziej dającym się odczuć skutkiem nieczystości jest to, że grzeszący zakopuje własnemi rękami osobiste szczęście. Zakopuje swoje zdrowie, zakopuje życie. Kiedyś czytałem taki przykład:

Biedna wdowa miała jednego syna. Gdy skończył szkółkę, postanowiła go oddać do większego miasta, aby się tam nauczył rzemiosła. Wyjeżdża chłopczyna z domu matczynego. Rozpłakał się, żegnając swoją wioskę rodzinną. Do stacji kole-

jowej, było kawałek, odprowadziła go matka. Żal jej było rozstawać się z jedynakiem, — łzy cisnęły się jej do oczu — serce biło niespokojnie. — Ale trudno — przecież to robi dla niego, innego majątku dać mu nie może. — Pociąg nadchodzi. Spojrzało biedne matczysko jeszcze raz na synka, przytuliła go do siebie, ucałowała i na pożegnanie dała mu przestrogę: Stasiu kochany! bądź tam dobrem dzieckiem, pamiętaj! chodź tam do kościoła, do spowiedzi, mów pacierz. Masz tu obrazek św. Alojzego, módl się przed nim, jak ci będzie smutno i ciężko, a pisz listy często, bo będę niespokojna o ciebie. Pociąg przyszedł. Pomogła mu wsiąść do wagonu. Staś już odjeżdża, a poczciwa matka jeszcze raz powtarza: „Pamiętaj Stasiu! com ci mówiła". Patrzy na niego, żegna go wzrokiem. Odjechał...

Wróciła do domu, ale ciągle Staś na myśli. Wkrótce się uspokoiła. Dobry Staś pisywał często listy, nie narzekał wcale. Tak przeszedł rok... dwa .. trzy... Staś podrósł — rzemiosła się poduczył — do miasta się przyzwyczaił... Kolegów miał dużo... Potrochu zapomniał o domu... o matce. Listy pisywał coraz rzadziej. Wolne chwile już spędzał w gronie wesołem, młodem, dobranem. Co raz było lepiej, grosza więcej i Stasio nauczył się grać w karty, pić wódkę, a później i coś więcej... Listów już nie pisywał do matki, pacierza nie mówił, do spowiedzi nie chodził, a obrazek św. Alojzego spalił. Po tej ślizkiej drodze szedł dalej i coraz niżej schodził, coraz to brudniejsze życie prowa-

dził. Używał młodości z całych sił. Hulał po nocach, weselił się z ladacznicami.

Pewnego wieczoru otrzymuje matka list z zawiadomieniem, że jej syn ciężko chory, leży w szpitalu. Ciężko chory... Nie może tych słów zapomnieć. Tak dawno nie pisał, myślałam, że mię kiedyś odwiedzi.

Łzy cisnęły się staruszce do oczu, serce ścisnęła smutna nowina, myśli czarne rzuciły się do głowy. Przeczuciem matczynem zgaduje stan swego syna. Nie czeka chwili; biegnie na stację, by czemprędzej dostać się do swego Stasia.

Przyjechała... W szpitalu pokazano salę i łóżko jej syna. Leży blady... wychudły młodzieniec... kropli krwi w nim nie widać...

Jakto! ten trup—to mój Staś! Ten czerstwy, rumiany, zdrowy Staś. O, Boże!... i zemdlała staruszka.

Gdy ją ocucono, spojrzała i widzi przed sobą lekarza. Pada mu do nóg i mówi słabym, drżącym głosem:

„Panie doktorze! miej litość nademną, biedną, starą wdową. Ratuj mego syna! On mój jedynak! powiedz, czy on żyć będzie?“

„Biedna matko!—odrzekł lekarz. Widzisz tu tych chorych na sali? To są ci, którzy sami choroby szukali. W rozpuście szukali uciechy, a teraz schną, gniją już za życia, jak trupy wyglądają. Marnieją i zmarnieją. Twój syn, matko, poszedł ich śladem i dziś dla niego ratunku niema.“

W kilka dni potem leżała nieszczęśliwa matka

na świeżej mogile. Łzy jak rosa spadały na grób. Jęk duszy był tak głośny, że za murem słychać go było. Rozpacz miotała strapioną matką. Chciała mieć podporę w starości, liczyła, że się przy nim pożywi i przy nim umrze, — a dziś on już w mogile.

Z duszą rozdartą, z bólem okropnym, ze łzami w oczach wracała staruszka — wdowa do swej wioski, do swej chatki, by tam głośniej jeszcze zapłakać i dokończyć smutny swój żywot.

Żołnierze! Jest to przykład, jakich wiele, bardzo wiele zdarza się dzisiaj. Idźcie do miast, odwiedźcie szpitale wenerycznych, popatrzcie na tych chorych, a litość ściśnie wasze serca i wstręt do grzechu nieczystego w nich obudzi.

Zresztą po co daleko szukać? po co jechać do dużych miast, tu u nas w tej twierdzy niedaleko mamy takich „Stasiów“ aż 800! Czy słyszycie? 800 zmarnowanych młodzieńców! 800 straconych żołnierzy, cały bataljon leży w szpitalu z własnej winy — przez rozpustę, przez kobietę, przez rozkosz. Zamiast bronić Lwowa, zamiast bronić Ojczyzny, oni leżą i więdną—jeszcze ich trzeba żywić, ubrać, lekarza zapłacić, lekarstwa kupić!

Czy to są patrjoci, synowie Ojczyzny? Czy to są pożyteczne jednostki? odpowiedz sam...

Prawda, życie w wojsku swawolne, śmierć ciągle w oczy zagląda. Może nie wiele chwil pozostało do życia, więc rwie coś człowieka, aby się tem życiem nacieszył. Prawda, że pięć lat wojny swoje zrobiły: zepsucia pełno wszędzie. Prawda,

że za te rzeczy w wojsku do więzienia nie sadzają. To wszystko prawda, mój żołnierzu! Wierzę ci, ale chyba i ty uwierzysz, że te straszne skutki grzechu nieczystego, o których przed chwilą mówiłem, też są prawdą. Oblicz zysk i stratę! Jaki smutny, bolesny rezultat!

Żołnierzu drogi! I ciebie chyba, jak tego Stasia, żegnała matka ze łzami, jakeś szedł do wojska. Płakała, obawiając się o twoje życie, o twoje zdrowie, o twoją duszę. Dziś tu twojej matki niema. Ale wiem, że radaby na skrzydłach przylecieć do ciebie, pocieszyć, pożałować, upomnieć... Tego upomnienia najbardziej potrzebujesz.

Wyręczam twoją matkę i wołam do ciebie, żołnierzu: bądź czystym! Jeżeli ci nie chodzi o utratę szczęścia wiecznego, jeżeli się nie lękasz zbytnio kary po śmierci, bądź czystym przynajmniej dlatego, że jesteś Polakiem. Dla Polski wolnej trzeba zdrowych obrońców tej wolności, silnych, dobrze zbudowanych ramion, trzeba tytanów — nie karłów, nie weneryków, nie gnijących trupów. Ci Jej nie obronią!

Jeżeli ci o Polskę nie chodzi, bądź czystym ze względu na siebie. Stracić młodość w domu publicznym—stracić tam zdrowie, cierpieć później w szpitalu i potrochu usychać w wiośnie życia,— czyż to nie straszne!

Żołnierzu polski! Może zapytasz, co masz robić? Dam ci radę. Idziesz koło domu rozpusty— z pogardą odwróć oczy w inną stronę, pomyśl, że to szpital weneryczny. Masz ciężkie, duże, liczne

grzechy nieczyste, — idź z nimi do spowiedzi, zanieś ich do stóp Chrystusowi, jak zrobił św. Augustyn, jak zrobiła Magdalena. Chrystus cię nie odrzuci, nie potępi,— ale daruje. „Ja cię rozgrzeszam“ powie. Jeżeli się ciało buntuje, krew się burzy, namiętności szaleją, nie wstydź się westchnąć do Boga, poprosić o pomoc. Bóg nie odmówi.

A gdy służba w wojsku się skończy, i wrócisz do domu zdrowy, znajdziesz sobie towarzyszkę życia, założysz gniazdko swoje, wychowasz dzieci również zdrowo i dasz dowód, żeś był dobrym Polakiem i dla Boga, i dla Ojczyzny, i dla siebie.

XVIII.

„Teraz do was prośba!“...

Żołnierze!

Kto czyta Pismo Św., mówi, że nauka w niem zawarta jest piękna, wzniosła, idealna. Ale oprócz zachwytu i podziwu, doznać musi czytelnik uczucia radości, szczególnie, gdy się zatrzyma chwilkę na słowach Chrystusa: „Proście, a otrzymacie“. Św. Jan 16, 23.

Są to słowa otuchy, nadziei — są to słowa ukojenia dla tych, co cierpią, dla tych, którym czegoś brak, którzy czegoś pragną. Trudno znaleźć katolika, któryby nie znał tych słów. Trudno znaleźć katolika, któryby nigdy w życiu o nic nie prosił. Jeden o zdrowie, drugi o długie życie, trzeci o majątek, czwarty o szczęście i t. d.

Niejeden już z tych proszących przekonał się o prawdziwości tych słów: „Proście, a otrzymacie“.

I ciągle nieustannie wzbija się do tronu Bożego cały łańcuch próśb, bo braków dużo, potrzeb wiele i pragnień rój.

Między temi prośbami, była przez długie lata na pierwszem miejscu jedna wielka zasadnicza prośba. Nie była to prośba pojedyńczej osoby tylko, ale prośba miljonów, całego narodu polskiego, całego kraju od morza, do morza.

Czasem była to prośba cicha, rzewna, spokojna—cierpliwa; czasem przeciwnie — była głośna jak grzmot błyskawicy, niespokojna jak wody oceanu w czasie burzy, była przejmująca najmniej czułe nerwy. Była głosem, jękiem cierpiących dusz, miljonów dusz...

Była to prośba o wolność.

Płynęła nieustannie, czy we dnie—czy w nocy, czy zimą — czy latem, czy przy pracy — czy przy odpoczynku. — Nie było przerwy, nie było chwili, nie było sekundy, aby polskie serce nie przesyłało tej prośby do Boga. Nie było części świata, z którejby nie wzbijał się do nieba głos błagalny o wolność. Nie było może w Rosji więzienia, z za krat którego nie wzleciałby w górę jęk męczennika za wolność, jęk nie rozpaczy, ale nadziei, że „Ona", ta Wolność kiedyś przyjdzie, bo słowa Mistrza-Chrystusa są nieomylne, a prośba narodu nie milknie.

W szeregach żebrzących o wolność pierwsi stanęli genjusze poezji: Mickiewicz, Krasiński, Słowacki...

W arcydziełach swoich wskazywali narodowi, że tylko tam! w górę! ku niebu! trzeba przesyłać tę prośbę; że tylko tam! tryska promień nadziei;

że tylko stamtąd! spłynie spełnienie naszych pragnień, marzeń, snów...

I sami w przepięknej formie, z wielką pokorą, z przyznaniem się do win i zarazem z nieugiętą wiarą przesyłali do Boga tę prośbę o wolność.

Za nimi szli starzy Polacy, urodzeni na wolnej jeszcze ziemi. Pamiętali Wolną Polskę, za Nią się bili, utrzymać nie zdołali. Ciężko im było patrzeć na kajdany, ciężej jeszcze je dźwigać. I gdy serce od bólu się ściskało, usta tych patrjarchów żebrały wolności u Boga.

Potem kroczyli młodzi Polacy, zrodzeni już w niewoli. Od pierwszej chwili swego istnienia zarzucono im obrożę, ale się do niej przyzwyczaić nie mogli i ciągle o wolność prosili. A gdy obroża zaczęła ranić, rwali się do boju, bili jak lwy, a gdy wysiłek pozostał daremnym i kajdan przepiłować nie można było, znowu pieśń błagalną słali do Boga.

Naostatku szło polskie dziecię. Składało delikatne rączęta do Boga i za matką przy pacierzu dodawało słowa prośby o wolność. Serduszko takie małe, ledwie biło, a już polskiem czuciem biło. A gdy się widziało dwa szeregi małych dziewcząt i chłopców, klęczących parami w kościele i śpiewających:

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie, —
Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!...

trudno się było utrzymać od rozrzewnienia.

Głos czystych duszyczek, niewinnych, a tak kochanych przez Chrystusa leciał pod stropy sklepienia, przebijał je swoją dziecięcą potęgą niewinności i prostoty i spadał u stóp Wszechmocnego. Czyż nie mógł wzruszyć Stwórcy? nie mógł Go przeprosić, wybłagać ten skarb — Wolność.

Długo, bardzo długo nie widać było na niebie tej gwiazdy wolności,—nie wschodziła. — Pewnie głos nie doleciał — pewnie czyśca było mało.— A tu żar piersi palił, tęsknota duszę szarpała. Do rozpaczy jednak nie doszło, bo Chrystus nieomylny, a powiedział: „Proście, a otrzymacie".

Nie zawiódł. Przekonał świat, że mocen wskrzesić naród, który był w grobie, przywalony ogromnym kamieniem niewoli od 123 lat. Pomimo rachub ludzkich, pomimo dyplomacji i polityki całej Europy, która inaczej myślała o rozwiązaniu kwestji polskiej, użył Bóg swej potęgi, użył, jako narzędzie wrogów naszych do uwolnienia nas z pod jarzma. Wysłuchał prośbę. – Dał nam Polskę. Słowa Chrystusa stały się czynem. Przepowiednie naszych wieszczów sprawdzone. Marzenia poległych, zmarłych i żywych spełnione.

Cóż wzleci teraz ku niebu? Jaki głos wyrwie się z piersi polskich? Czem się ma zakończyć hymn radości, rozlegający się po całej polskiej ziemi? Cóż odda Bogu, czem się odwdzięczy żołnierz polski?

Żołnierze, Hallerczycy! Teraz na was kolej! teraz do was prośba!: Bądźcie religijnymi! Nic więcej!

Los wypędził was w większości za ocean, do obcej ziemi. Z żalem trzeba było opuścić ziemię ojczystą, pożegnać chatę rodzinną i szukać kawałka chleba nie wśród swoich. Tu wam było za ciasno, tu się tuczyli nasi wrogowie. Jedni z was opuścili kraj niedawno — przed wojną; drudzy już się tam porodzili — pod niebem amerykańskiem. Angielska mowa jak brzęk osy dolatywała zewsząd do uszu waszych. Ale piosnka waszej matki nad kołyską była polską piosnką; szept pacierza był polskim szeptem; serce wasze biło od dzieciństwa po polsku; krew w waszych żyłach była krwią polskich Sarmatów.

Tysiące kilometrów dzieliły was od pnia macierzystego a jednak—nie rozdzieliły. Tysiące dolarów mogliście zarabiać, pozostając w Ameryce, a wyście niemi wzgardzili.

Zatęskniło serce wasze, zawrzała krew i stanęliście jedni z powrotem, drudzy po raz pierwszy na polskiej ziemi. Powróciliście „na Ojczyzny łono“— o czem marzył Mickiewicz, o co tak gorąco Boga prosił, będąc zdala od kraju rodzinnego.

Zastajecie Polskę głodną, biedną, zniszczoną, ale ta Polska posiada jeszcze wielką cnotę, wielki skarb, którego nie wydarł Moskal, nie zrabował Prusak.

Ta Polska posiada religijność, klejnot, którego niema zagranica. Byliście w Ameryce, we Francji, niektórzy we Włoszech i widzieliście, kościoły naogół pustkami tam świecące.

Czy tam Bóg jest Bogiem? Dolar, kobieta i wino jest bogiem.

U nas żołnierze! inaczej. Prawda, w czasie wojny, obniżył się poziom religijny i moralny narodu naszego,—jednak kościoły jeszcze przepełnione, głos modlitwy, głos podzięki wzbija się nieustannie do stóp Chrystusa. Kościół, ta szkoła polskości w czasach niewoli, jest do dziś dnia w poszanowaniu. Był tamą przeciwko zachłannej rusyfikacji— dziś jest tamą przeciw mętom społecznym, przeciw trutniom, przeciw szumowinom, bolszewikom. Stoi niewzruszenie i broni spraw Boga i Narodu. Za tę jego pracę, przeszłą i dzisiejszą polski naród trzyma się Kościoła, trzyma się wiary, trzyma się Boga i trzymać się będzie.

Żołnierze drodzy! Zaimponowała wam zagranica wysoką kulturą, techniką, wynalazkami, oświatą. Chwalmy ją za to i w tem ją naśladujmy! Ale pod względem religijnym i moralnym ona nie da nam wzoru, ona nie może być dla nas przykładem. Wystygło już w niej uczucie religijne, wysycha źródło, podczas gdy u nas to źródło religijności jest jeszcze żywe, pełne. Z niego jeszcze bije i musi bić ciągle wysoko, w górę, pod niebo, do Boga hymn wdzięczności.

Teraz do was prośba, żołnierze! Jeżeli wysychają wasze serca z uczuć religijnych, jeżeli panuje w nich już posucha, idźcie do źródła pobożności, jakie bije tu w Polsce wpośród ludu naszego. Orzeźwijcie się tym nektarem, otrząście z sie-

bie złe naleciałości zachodu, nie bądźcie gorszymi Polakami!

Żołnierze: Bądźcie religijnymi! Niech strzela od was głośno i nieustannie hymn wdzięczności ku Bogu za spełnienie naszych pragnień, za powrót „na Ojczyzny łono“, za pomyślność kraju naszego! Niech kwitnie w sercach waszych pobożność, nasza polska pobożność! Niech dawne rycerstwo polskie zawsze katolickie i pobożne znajdzie godnych potomków w swoich synach i wnukach!

Żołnierze Hallerczycy! Teraz do was prośba!: Bądźcie religijnymi!

XIX.

„Dajcie nam dobrych żołnierzy!“...

Żołnierze!

Przemawiając do was, staram się przyczynić w części do tego, aby Polska miała z was dobrych żołnierzy. Nic innego nie pragnąłem i nie pragnę. I nie tylko ja, ale cała Polska pragnie mieć dobrych żołnierzy. Nawet wpośród was niema nikogo, ktoby nie rozumiał, że takich żołnierzy nam potrzeba, ktoby nie chciał być dobrym żołnierzem?

Ten wyraz „dobry“ ma coś w sobie przyciągającego, jest w nim jakiś magnes, jakaś siła, której oprzeć się trudno. Każdy woli dobre potrawy, wzdycha do dobrych czasów, do dobrego rządu, w chorobie szuka dobrego lekarza, słowem wszystko chciałby mieć dobre.

Czasem człowiek błędnie sądzi, że coś jest dobrem i nic dziwnego. Rozum z natury ograniczony podlega tylu wpływom zewnętrznym, że sądu bezstronnego, bezwzględnego wydać nie jest

zawsze w stanie. Ogół jednak rzadko się myli, a gdy chodzi o dobrych żołnierzy, ogół nigdy się nie myli. Pod tym względem panuje zgoda prawie jednomyślna.

Dobry żołnierz! Jakie to głębokie wyrazy! Ile kryją w sobie zalet, ile poświęcenia, bohaterstwa, ile trudów, krwi. Dobry żołnierz to mur graniczny państwa! Dobry żołnierz — to władca, który góruje ponad szarym tłumem nie berłem, nie koroną, ale gorącem sercem, miłującem prawdziwie Ojczyznę. Szabla, karabin — jego berło, którem uczy podłe, przewrotne dusze szanować prawo — porządek.

Dobry żołnierz to doskonałość człowieka, który potrafi wyzbyć się swojego ja, swej woli nawet. Dobry żołnierz to człowiek, który myśli nie tylko o sobie, nie tylko o swoim domu, nie tylko o swoim majątku; on o sobie najmniej myśli, bo naraża się na śmierć, dobrowolnie poświęca osobiste szczęście, byleby uratować szczęście innym.

I pocóż tyle szumnych frazesów? powiedzmy raczej, jakie są zasadnicze przymioty dobrego żołnierza? któż on jest? Czy ten dawny rycerz, zakuty od stóp do głowy w stal, z ciężkim długim mieczem w jednym ręku, a z tarczą w drugiej?

Czy dobry żołnierz to ten, ubrany z szykiem, bogato, pełny na twarzy, piękny mężczyzna?

Czy to ten dobry żołnierz, który umie tylko ładnie salutować, zgrabnie maszerować, damy bawić, ładnie tańczyć, w karty grać, dobrze zjeść i wypić?

— Nie. Dobry żołnierz musi mieć kilka cnót.

Dobry żołnierz musi imponować nie stalą, nie pancerzem, ale zaletami.

Tak, dobry żołnierz to ten nawet młody, nawet szczupły, nędznie ubrany i obuty, ale przedewszystkiem posłuszny żołnierz. To jest pierwsza jego ozdoba. Posłuszny na każdym kroku, w każdej chwili, gotowy rzucić się w bezdenną przepaść jednej chwili na rozkaz dowódcy. Posłuszny, gdy najedzony,—posłuszny, gdy głodny—posłuszny, gdy zmęczony – posłuszny, gdy doznał przykrości - zawsze gotów spełnić rozkaz wydany. Nie wnika, nie krytykuje, nie bierze na swój rozum, czy ten rozkaz dobry lub nie, ale bezwzględnie spełnia wolę zwierzchnika. Rozkaz, nic więcej. Za rozkazy odpowiada ten, kto ich wydaje. On niech obmyśla, on niech się stara, aby rozkaz był korzystny dla całości sprawy. I choćby wymagał taki rozkaz dużo krwi w ofierze, musi być spełniony, bo w wojsku jeden za wszystkich. Ginie jeden bataljon, ale po jego trupach przechodzi do zwycięstwa cała armja.

I choć czasem krew przelana nie zostanie uwieńczona pomyślnym skutkiem, wypada zapytać, czy wina nie leży w nieudolnem wykonaniu rozkazu.

Czasem zdarza się rozkaz spełniony co do joty. Na nieszczęście był rozkazem nie tęgiej głowy; dał w rezultacie tysiące mogił bez żadnego plusa dla sprawy ogólnej. Ale i wtedy nie wolno było żołnierzowi działać na własną rękę. Gdyby w takiej chwili każdy oddział i każdy żołnierz

po swojemu walkę prowadził, straciłby kontakt z dowództwem, z rezerwą, z ogólnym planem walki i stanowczo liczba mogił wzrosłaby do potęgi lub, co gorsze, liczba jeńców wykazałaby smutne skutki nieposzanowania rozkazów.

Żołnierz poniekąd musi być automatem, gdy pełni służbę, gdy otrzymał rozkaz. On nie zna ważności tego rozkazu; jest dla niego tajemnicą, dlatego musi być narzędziem ślepo — wykonawczem. To bezwzględne posłuszeństwo nie niszczy w nim godności wolnej istoty, nie niszczy w nim przekonań, poglądów na sprawę. Indywidualność jego pozostanie tą samą, tylko czasowo, tylko w rzeczach służby, tylko dla dobra Ojczyzny, musi zrezygnować ze swojego ja i wbić sobie mocno w głowę, że musi być władza rozkazująca i siła wykonawcza. Takich żołnierzy nazywamy karnymi, tacy żołnierze to materjał na dobrych żołnierzy.

Ale mało tej jednej zalety. Dobry żołnierz musi być nie tylko posłusznym, ale i mężnym żołnierzem. Jego nie cofną świszczące kule, jego nie przerażą błyszczące bagnety, nie wstrzymają głosy przeciwnika: hurra! hurra!

Czy granat pęknie, czy kolega padnie, czy ogień bucha jak w piekle, on idzie w bój—nieugięty, nieustraszony, idzie po spartańsku: „albo z tarczą, albo na tarczy“. Albo zdobędzie pozycję wrogą i jako zwycięzca zatryumfuje — albo z honorem padnie na swoim karabinie, uściska go dłońmi śmiertelnemi i z honorem zaśnie na wieki.

Czy w najstraszniejszym ataku na bagnety, czy na służbie wywiadowczej, czy na punkcie obserwacyjnym, czy też szybując wysoko w przestworzach na aeroplanie, wszędzie na każdym posterunku towarzyszyć mu będzie śmierć, a on musi pozostać mężnym żołnierzem.

Dobry żołnierz — to prawy i moralny żołnierz. On nie pójdzie krętą ścieżką, on nie splami honoru żołnierskiego, on nie złamie przysięgi, łapówka do niego nie przylgnie. Prawy na warcie, prawy w koszarach, prawy z karabinem, prawy przy biurku z piórem, prawy z oficerem, prawy z kolegami. Trudno zrozumieć, trudno sobie wyobrazić dobrego żołnierza, któryby nie był prawym i moralnym. Często się słyszy: „ach! jaki dzielny żołnierz, jaki zgasł bohater!"

Może dzielny, może bohater, ale czy dobry— to pytanie. Męstwo, brawura w walce nie daje jeszcze patentu na dobrego żołnierza. O ile nie był dobrym żołnierzem przed bitwą, w koszarach, o ile nie miał prawego charakteru, o ile nie był moralnym, nie może za samą tylko odwagę otrzymać tego szczytnego tytułu.

Czyż żołnierz, który żyje bez prawa moralności, okrada magazyny rządowe, sprzedaje bieliznę, otrzymaną dla siebie, który pije po nocach, odwiedza domy publiczne, jest dobrym żołnierzem? czy ten żołnierz zniesie trudy wojenne? czy przez takie życie nie wyczerpie swego organizmu? czy mając do wyboru obowiązek i przyjemność nie pójdzie raczej za przyjemnością.

Brak tam silnej woli, brak tam charakteru, brak tam prawości.

To zakała armji, to ciężar społeczeństwa. Szkoda takich żołnierzy żywić i odziewać. Nie warci nawet tytułu żołnierza!

Gdy niemoralność zacznie toczyć armję, gdy przeciwko tej chorobie nie wystąpi ostro władza zwierzchnia, gdy się zbagatelizuję chorobę, lepiej taką armję puścić do domu, nie czekać na ostatnie stadjum demoralizacji. Wtedy biada dowództwu i społeczeństwu!

— Nie, nigdy! przenigdy! niemoralny żołnierz nie może sięgać po tytuł dobrego żołnierza.

Wreszcie dobry żołnierz musi być wyćwiczonym, wyszkolonym w sztuce wojskowej. Dobrze maszerować, i celnie strzelać — dzisiaj nie dosyć dla żołnierza. Technika wojskowa tak się szybko posunęła w czasie ostatniej wojny, że żołnierz, chcąc iść za jej postępem, musi wykazać dużo pracy i pilności. Im więcej posiądzie inteligencji wojskowej, tem lepszą daje gwarancję dobrego żołnierza.

Mając to na uwadze śmiało powiedzieć można, że dobry żołnierz musi być posłusznym, mężnym, moralnym i wyszkolonym.

I takich nam, jak już na wstępie powiedziałem, żołnierzy potrzeba.

Gdy na wschodzie mamy sobie wytknąć granicę, gdy tam na wschodzie mamy powstrzymać trujące gazy bolszewizmu, gdy na zachodzie musimy siłą wydzierać ze szpon pruskich naszą oj-

cowiznę, gdy nawet w kraju trzeba się mieć na pogotowiu i natychmiast tłumić żywioł skuzynowany z bolszewizmem, gdy takie wielkie zadania czekają żołnierza polskiego, aby je rozwiązał pomyślnie, musi być dobrym żołnierzem.

W każdym słowie, w każdym czynie, w każdym nerwie musi drgać, musi przebijać ten „dobry żołnierz".

Jeżeli kto, to przedewszystkiem dobry żołnierz buduje gmach Wielkiej Polski. On pierwszy pracuje przy zakładaniu fundamentów. Takich dobrych żołnierzy nie zapomni dowódca, nie zapomni armja polska, nie zapomni historja i przez wieki, schylając czoła przed ich czynami wołać będzie: Czołem wam, żołnierze! Czyny wasze nieśmiertelne! i pamięć onych nieśmiertelną będzie!

Żołnierze! Czy wszyscy, jak tu stoicie, jesteście godni, by społeczeństwo krzyknęło wam: Czołem!?

Dawniej, gdy młodzian posiadł sztukę wojowania, gdy wykazał męstwo i godność charakteru, pasowano go na rycerza. Został zaliczony do grona tych wybranych, którzy z mieczem żyli i z mieczem umierali.

A dziś czy was wszystkich można pasować na dobrych żołnierzy? czyście na to przygotowani? czy posłuszeństwo, męstwo i moralność tryskają wam z oczu?

Nie chcę wątpić, bo chcę was wszystkich widzieć na liście dobrych żołnierzy. Historja narodu naszego chce was widzieć takimi przez setki lat,

chce was ta historja unieśmiertelnić, chce wyryć wasze nazwiska, by podać przyszłym pokoleniom w spuściźnie tę wiadomość, że Polskę budowali przedewszystkiem dobrzy żołnierze.

Żołnierze drodzy! czy słyszycie? Z pod Lidy i Pińska, z pod Tarnopola i Cieszyna, z pod Raciborza i Gdańska lecą ku wam tysiączne, miljonowe głosy: Dajcie nam dobrych żołnierzy!

XX.

„Naprzód!“...

Żołnierze!

Wśród mroźnej, ciemnej nocy idzie podróżny. Okolica pusta, dla niego nieznana. Nigdzie niema domów, żadnej wioski. Śnieg, pada gęsto — bez przerwy. Zasypał drogę, zrównał doły. Wicher swawolny rozhulał się na dobre, rozpoczął swoją świszczącą muzykę i tnie prosto w oczy. Podróżny nie staje — idzie naprzód. Idzie przez doły i rowy. Miejscami wpada głęboko w pulchny śnieg, ale się podnosi i znów idzie dalej.

Gdzieś, jakby niedaleko, mignęło światełko. Może złudzenie. Pewnie,—bo światełko zgasło. Za chwilę znowu się pokazał różowy punkcik i już to wyraźny prawie blizki, już to blady, słabo dostrzegalny. Ale nie gaśnie — nie ginie.

Podróżny obrał ten różowy punkcik za cel i nie spuszczając go z oczu, w prostej linji zdąża ku niemu. Znowu wpada w jakieś wyrwy, znowu się wydostaje z pod śniegu a wciąż idzie na-

przód. Jednak czuje zmęczenie. Pomimo, że mroźny wiatr wieje w oczy, ciepło mu się robi, nogi słabną, sił brak—a tu jeszcze punkcik różowy daleko. Zdawało się, że on tak blizko, tuż prawie, a tymczasem to było złudzenie.

Wiatr świszcze po dawnemu, rozrzuca tumany śniegu. — Do duszy podróżnego wkrada się zwątpienie.

Śnieg mię tu zasypie, myśli sobie, zginę bez śladu, nie dojdę do celu podróży, nie ujrzę chatki rodzinnej, nie ujrzę blizkich i drogich memu sercu. — Ale nie! Precz małoduszność! Nie złożę kości w odludnem polu, dobędę wszystkich sił, jeżeli nie mocą ciała. to mocą ducha iść będę naprzód — wciąż naprzód; nie spuszczę z oka migającego światełka i dojdę do niego, przestąpię próg tej chatki, w której się ono świeci, tam się ugrzeję, przenocuję, zapytam o dalszą drogę.

Naprzód! — Naprzód! powtarza sobie podróżny i pełen wiary kroczy dalej. Wie, że ta chatka nie jest celem jego podróży, wie, że ten promyk światła to tylko słaby reflektor w jego ciężkiej pielgrzymce, ale i o tem wie, że idąc w kierunku tego światła, nie zbłądzi, nie zginie i przy jego pomocy dojdzie do celu swej podróży.

Tak pielgrzymuje w moralnem znaczeniu niejeden człowiek w życiu. Poprzez góry niebezpieczeństw, poprzez doły upadków, poprzez mroźne, tnące wprost w oczy przeszkody. Spotyka na drodze pewne drogowskazy, — reflektory, pewne światełka, które pozwalają mu się orjentować

w mrocznej życia podróży. Jeżeli idzie za nim z wiarą, idzie naprzód, idzie wciąż, dochodzi do celu.

Tak pielgrzymował nasz naród. Szedł przez zwycięstwa, szedł szlakiem tryumfów, szedł długie lata, nie czując zmęczenia. Zdobył pomyślne piękne karty w historji Europy, dopókąd gwiazda przewodnia błyszczała na polskim firmamencie, dopókąd wskazywała drogę, była celem promienistym, siłą, potęgą.

Ale ciemne chmury zasłoniły firmament. Skryła się gwiazda; przyszło zwątpienie, za niemi klęski — niewola...

Naród wpadł w głęboki dół, pozostawiając za sobą przeszłość czasami piękną, czasami mroczną. Wpadł naród w dół — i tylko dzięki temu, że nie stracił wiary i starał się z niego wydostać,—przy pomocy Bożej, podniósł się, powstał. Niebo się przejaśniło, zginęły chmury i naród z powrotem ujrzał gwiazdę wolności.

Dziś stoimy przy blasku tej gwiazdy— ale to jeszcze nie wiele, to jeszcze nie szczyt, to jeszcze nie przyszłość nasza, to jeszcze nie ta jasność, ku której, wolni Polacy, zdążać mają. Tam daleko— hen!... hen!... bardzo daleko widać przyszłość naszą, wspaniałą, promienną, niezachmurzoną. Widać tam daleko Wielką, Potężną Polskę.

Wartoby pokazać tę Wielką Polskę całemu narodowi i wołać: Narodzie naprzód! — bo widzisz co to gór, wąwozów, przeszkód, niebezpieczeństw. Zbierz i wytęż wszystkie siły, Narodzie Polski, i śmiało idź: Naprzód!

— Lecz widzę tu przed sobą tylko część narodu, widzę was, młodzieży wojskowa. Dwie zalety! młodość i wojskowość rzucają się odrazu w oczy, gdy się na was patrzy. Mundur żołnierski i wyraz młodości to są pierwsze wasze dokumenty. Pierwsze i zarazem nadzwyczaj cenne.

Sama młodość już jest wielką rzeczą. Jest kuźnią przyszłości, jest skarbem, jest wszystkiem.

Kiedy najwięcej zapału do pracy, do życia, jeżeli nie w młodości?

Kiedy dusza rwie się i pnie na szczyty, kiedy ogień błyskawiczny tryska z oczu, z myśli, z czynów?

Kiedy najczęściej pogarda śmierci, graniczącą prawie z szałem, towarzyszy człowiekowi? kiedy?— Tylko w młodości.

Nigdyby Mickiewicz nie dał rozkazu: „Mierz siły na zamiary, nie zamiar według sił“, gdyby tych gorących słów nie mówił do młodych serc, gdyby je mówiąc, sam nie był młodym.

Tę zaletę droższą ponad wszystkie wartości życia posiadasz ty młodzieży.

I drugą jeszcze posiadasz zaletę—mundur żołnierski. Jeszcze on obcy, niejednolity, — ale już drogi, jak drogie są czyny ku którym on zaprowadził twoich kolegów, ku którym i ciebie wkrótce zaprowadzi. Trzeba tylko jednej rzeczy, by wydobyć z młodości i z pod tego munduru żołnierskiego tysiące skarbów. Jednej — jedynej:

Trzeba iść żołnierzu polski: Naprzód! Ani

kroku „wstecz“, — ani chwili: „stój“ — ale wciąż, wciąż: naprzód!

Stojąca woda się psuje i nigdy nie ma tej dobroci i siły, jaką posiadają wody bystrej rzeki.

I ty, żołnierzu polski, torując sobie drogę ku zdobyciu Wielkiej Przyszłości, naśladuj bieżącą wodę. Jak ona, nie zatrzymuj się na chwilę, nie daj się unieść zwątpieniu, wołaj: Precz małoduszność! i śmiało idź naprzód. Choć pomału, ale ciągle posuwaj się. I pod każdym względem. I nigdy nie rozstawaj się z tym wyrazem „Naprzód!“.

Jako żołnierz posuwaj się w wyszkoleniu wojskowem. Dołóż pracy, starania i dbaj o to, żebyś nie był bezmyślnym kawałem mięsa, przybranym w mundur żołnierski, ale przeciwnie, byś wykazywał coraz to więcej zalet wyćwiczonego żołnierza.

Idź naprzód! jako młody obywatel kraju. Nie zapominaj, że Polska, — to twoja ziemica, twoja matka, — a tyś jej dziecko. Gdy ona płacze, gdy ona cierpi, gdy ona prosi o ratunek, ani chwili stać nie wolno bezczynnie. I pamiętaj, że tem więcej jej pomożesz, im bardziej wyrobisz w sobie poczucie obywatelskie, im bardziej posuniesz się naprzód przez oświatę, przez kulturę, przez prawość charakteru, przez inteligencję żołnierską, tem dzielniej bronić jej będziesz, im silniejszy duch twój będzie, im silniejszą będzie wiara w twoje zwycięstwo.

Idź naprzód! jako żołnierz w boju i nie znaj nigdy ucieczki. Tchórzowi hańba! nie wart być żołnierzem polskim. Śmiało, mężnie patrz śmierci

w oczy! Na szańcach nieprzyjacielskich zdobywaj sławę armji polskiej!

Idź naprzód! jako żołnierz polski, nie przez mord i grabież, nie przez ucisk bezbronnych, jak to robili nasi przeciwnicy, nie przez nienawiść ludzi, — ty idź naprzód przez miłość dobrych idei, zasad, poglądów, przekonań, przez nienawiść złych czynów, ty idź naprzód po tej ciernistej, krwawej drodze przez czyny szlachetne, piękne, wzniosłe.

Czy wichry szumieć, czy burza huczeć, czy grzmoty bić będą — naprzód! żołnierze!

Czy bałwany się wspienią i zapragną was pochłonąć w bezdennych głębiach swoich, z wiarą: Naprzód! młodzi przyjaciele!

Choć cel naszej pielgrzymki daleki, choć przed nami tyle pracy, wysiłków, szamotań, — mimo to Naprzód!

Gdy siły opadną, niech nas wesprze nadzieja zwycięstwa i miłość idei szlachetnej i znowu idźmy Naprzód!

Czy krwią okupimy szczęśliwą przyszłość, czy zaślemy drogę trupami i ani jeden z nas tu obecnych nie dojdzie do tej Świetlanej, Jasnej, Wielkiej Przyszłości naszej drogiej Ojczyzny, tembardziej — Naprzód żołnierze! —Naprzód przyjaciele!

Naszemi trupami utorujemy potomnym drogę do celu,
Krwią swoją zapoczątkujemy szlak do zwycięstwa;
Zasiejmy ziarno!—potomni niech plon zbiorą.
Więc żołnierze! jeszcze raz — „Naprzód!!“

B. W.
O.O.K. NR. V.
KRAKÓW

Sprostowanie.

Str.	wiersz:		jest:	powinno być:
21	5 „	od dołu	Oko nic nie wie	Oko nie wie.
„	2 „	„ „	na falujące łany	na falujące się łany.
39	3 „	„ „	polaka	Polaka
41	11 „	od góry	śmiercią od noży	śmiercią od rózg
43	15 „	„ „	wtedy, kiedy, o ile	wtedy, kiedy ci Bóg...
45	10 „	od dołu	na ambonie. Przemówić	na ambonie, by przemówić słów kilka.
48	7 „	od góry	gdy podłości	gdy podłość
54	9 i 15	od dołu	122 lata	123 lata.



Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.
im. F. Dzierżyńskiego

1459.



376931
/2